

*Doctor*  
**WHISKEY**

# DZIEŃ DALEKÓW



**TERRANCE DICKS**



**TERRANCE DICKS**

**DZIEŃ DALEKÓW**

**Doctor Who**

## *Terror w dwudziestym drugim stuleciu*

Moni usiadł na łóżku i ostrożnie rozejrzył się dookoła. Olbrzymi barak był wypełniony pogrążonymi w śnie ludźmi, skrajnie wyczerpanymi całodzienną harówką. Niektórzy z nich wiercili się, mamrotali i przeklinali przez sen.

— Nie, nie, proszę... — krzyknął jakiś mężczyzna, a potem jego głos zmienił się w niezrozumiałe bełkot.

Moni zobaczył, że to Soran. Tego ranka strażnicy pobili go za to, że nie wypełnił dziennej normy. Soran z każdym dniem opadał z sił. Chyba już długo nie pociągnie.

Poranne wydarzenie dodało w jakiś sposób Moniemu otuchy. Walczył właśnie dla Sorana, dla Sorana i tysięcy jemu podobnych, którzy zginą w obozach pracy od brutalnych razów albo nie mogąc podołać wyśrubowanym normom, chyba że... chyba że...

Moni odrzucił szorstki koc i spuścił stopy na podłogę. Miał na sobie strój, w którym chodził w ciągu dnia, i nie było w tym nic nadzwyczajnego. Baraki nie były ogrzewane, więc większość więźniów w ogóle się nie rozbierała w nocy, chroniąc się w ten sposób przed chłodem. Moni przypominał sobie słabo, że kiedyś ludzie mieli specjalne ubrania, w których spali: nazywały się pi-coś tam... Dobrze nie pamiętał. Podobne luksusy z trudem mieściły mu się w głowie.

Spod poduszki wyjął buty, które schował tam wieczorem. Były one zrobione z nowego mocnego plastiku, a w obozach

pracy wszelkie wartościowe rzeczy trzymało się w zasięgu ręki. Wsadziwszy je pod pachę, ruszył cicho w stronę drzwi.

Bosymi stopami stąpał bezszelestnie po szorstkiej betonowej podłodze.

Gdy znalazł się na dworze, zatrzymał się na chwilę w smudze cienia, żeby się obuć, a potem podszedł cicho do zewnętrznego ogrodzenia. Zdjął kurtkę, rozwinął opasujący go długi cienki zwój plastikowej liny, po czym przywiązał jej koniec do wyjętego z kieszeni prymitywnego haka i zarzucił go na mur. Nie trafił i hak wylądował z metalicznym brzękiem z powrotem u jego stóp. Moni zamarł z przerażenia. Na pewno ktoś musiał usłyszeć hałas. Zerknął w stronę baraku strażników. Ze środka dobiegały jednak tylko gardłowe dźwięki obcej mowy.

Teoretycznie teren obozu powinien być bez przerwy patrolowany, ale strażnicy byli niedbali i leniwi. W chłodne, takie jak ta, noce siedzieli w swoim baraku, tłocząc się wokół płonących żelaźniaków i pożerając sprasowane kawałki szarej prymitywnej strawy, którą dostarczali im ich panowie.

Moni zarzucił linę ponownie; tym razem miał więcej szczęścia. Hak zaczepił się o wbite w szczyt muru kolce. Moni szarpnął mocno linę, a potem wspiał się szybko na górę, trzymając w zębach kurtkę, która miała ochronić go przed kolcami. Usiadł niezręcznie okrakiem na ogrodzeniu i podciągnął linę, a następnie zrzucił ją na drugą stronę i skoczył w dół, stękając głośno przy lądowaniu. Szybko włożył z powrotem kurtkę, schował pod nią linę i hak, po czym ruszył betonową drogą, biegnącą przez gruzowisko.

Przebył już kilka dobrych kilometrów, kiedy nagle odwróciło się od niego szczęście. Skręcał właśnie na skrzyżowaniu, mijając jeden z wielu wypalonych budynków, kiedy z ciemności wynurzyła się olbrzymia owłosiona łapa, chwyciła go za

nogę i cisnęła nim o resztki ceglanego muru. Moni jęknął głośno i zamrugał oczyma, widząc zapaloną gałąź, przysuwającą się niebezpiecznie blisko do twarzy.

Kiedy jego oczy oswoiły się ze światłem, zobaczył niewyraźny zarys sylwetki swego prześladowcy. W pobliżu paliło się małe ognisko, wokół którego przysiedli w kucki inni olbrzymi. Moni przeklinał pecha. Wpadł w łapy jednego z patroli, które obozowały w ruinach.

— Dać go tu! — usłyszał gardłowy głos dochodzący od ogniska.

Został powleczony niczym szmaciana lalka. Bojąc się o własne życie, nie stwiał żadnego oporu. Miał jakąś szansę w starciu z ludźmi, ale ci strażnicy nie mieli z nimi nic wspólnego; to byli Ogronowie.

Rzucony na ziemię, podniósł wzrok i spojrzał na majaczące nad nim w świetle ognia zarysy ogromnych postaci. Widział Ogronów już wiele razy przedtem i zawsze budzili w nim instynktowny strach. Przypominali krzyżówkę goryla i człowieka; mieli ponad dwa metry wzrostu, kabłąkowate nogi, masywną pierś i zwisające prawie do samej ziemi długie, silne łapy. Największe przerażenie mogły jednak budzić ich pyski, stanowiące zdeformowaną wersję ludzkiej fizjonomii, z płaskim jak u małp nosem, małymi, połyskującymi nienawistnie oczkami i potężnymi szczękami, w których były osadzone długie żółtawe zęby. Przy całej swej gwałtowności i prymitywnej sile Ogronowie mieli jednak pewną cechę, która nawet teraz dawała Moniemu cień nadziei: byli mianowicie bardzo, ale to bardzo głupi.

Moni zerwał się na nogi.

— Jestem dowódcą sekcji w obozie pracy numer trzy —

oznajmił, starając się mówić wolno i spokojnie. — Mam za stąpić dowódcę sekcji w obozie pracy numer cztery, który zachorował.

Potoczył wzrokiem po otaczających go Ogronach, żeby stwierdzić, czy wierzą w jego opowieść. Olbrzymi wpatrywali się w niego zupełnie nieporuszeni. Czy mu uwierzyli? Czy w ogóle zrozumieli, co do nich mówi?

— Rozkaz dotyczący mojego przeniesienia wydali wasi panowie — powiedział tym samym spokojnym, stanowczym głosem. — Jeśli się spóźnię, będą źli. Będą źli na was.

Tym razem jego słowa wywarły pożądaną skuteczną reakcję. Widok malującej się na brutalnych twarzach Ogronów trwogi był prawie komiczny. Jedyną rzeczą, mogącą wzbudzić w nich strach, była wzmianka na temat jeszcze bardziej straszliwych istot, którym służyły.

Kierujący grupą Ogron podniósł wielką owłosioną rękę.

— Ty iść! Iść szybko! — powiedział.

Moni odwrócił się i pobiegł w ciemność.

Dopiero po godzinie trudnej, niebezpiecznej wędrówki dotarł do celu. W świetle księżycy widać było chwasty wyrastające z fundamentów zburzonego domu. Moni uprzątnął maskujące wejście gruzy, podniósł klapę i zeskoczył w dół, w kompletną ciemność. Wylądował na podeście schodów, po czym ruszył ostrożnie w dół. Po jakimś czasie spostrzegł wąską smugę światła pod zamkniętymi drzwiami. Podeszedł do nich szybko i zapukał w umówiony sposób. Po kilku chwilach otworzyły się ze skrzypieniem. Naprzeciw niego stał z miotaczem w ręku Boaz.

— W porządku, Boaz, to tylko ja — powiedział Moni.

— Spóźniłeś się... nie wiedzieliśmy, co się stało... — Głos Bo-

aza zdradzał oznaki silnego napięcia.

— Wpadłem na patrol Ogronów — przerwał mu Moni. — Udało mi się ich jakoś oszukać. Czy są już tutaj inni?

Boaz kiwnął głową i Moni wszedł za nim do środka piwnicy. Anat i Shura siedzieli wokół ognia, który płonął w żelaznym koszu. Moni omiółtł szybko wzrokiem całe pomieszczenie. Po raz pierwszy odwiedzał punkt dowodzenia tej konkretnej komórki, ale w gruncie rzeczy nie różniły się one tak bardzo od siebie. W każdym mieście istniały podobne do tego ukryte pomieszczenia. W nich magazynowano broń i żywność, tu spotykali się mężczyźni i kobiety, mający jeden cel w życiu — uwolnienie planety z rąk obcych istot, którym udało się nią zawładnąć.

Patrole Ogronów stale szukały tych kryjówek. Czasami udawało im się jakąś wykryć, a wtedy buty Ogronów wywalają drzwi i mała grupa znajdujących się w środku spiskowców była bezlitośnie likwidowana. Na miejscu każdej rozbitej komórki pojawiały się jednak następne.

Moni przyjrzał się trzem wpatrującym się w niego w napięciu osobom. Wiecznie nachmurzonej, ciemnej i skupionej twarzy Boaza, szaleńczo odważnego, ale zbyt nieobliczalnego, zbyt często gotowego działać bez zastanowienia. Pełnej gorącego idealizmu twarzy najmłodszego spośród nich — Shury. Na koniec popatrzył na dziewczynę. Szczupła, ciemna i silna, z krótko ostrzyżonymi włosami, Anat była piękna mimo swego prostego roboczego kombinezonu. Oto materiał na prawdziwego przywódcę, pomyślał Moni. Odważna i nienawidząca z całej duszy wroga, odznaczała się jednocześnie sprytem i rozwagą, które kazały jej zawsze czekać na najbardziej odpowiedni moment, by zadać cios.



Dziewczyna odezwała się pierwsza.

— Coś się stało, Moni? Nie ukrywaj tego przed nami. Nie zwołałbyś spotkania bez ważnego powodu. Rzadko mamy zaszczyt goszczenia tutaj członka Centralnego Komitetu.

Bystra i jak zawsze rzeczowa, pomyślał z aprobatą Moni.

— Masz oczywiście rację, Anat — odparł. — Coś się stało. Coś ważnego, coś, co dotyczy was wszystkich. — Przerwał na chwilę, żeby zebrać myśli. — Wiecie mniej więcej, na czym polegała do tej pory nasza działalność: izolowane akty sabotażu, czasami większe, czasami mniejsze. Wszystko to nie jest dla naszych wrogów bardziej dokuczliwe aniżeli ukłucie szpilki.

— Ukłucie szpilki? — wybuchnął Boaz. — Czy po to właśnie walczyliśmy i ginęliśmy? Dopóki w nich uderzamy, wiedzą przynajmniej, że nas do końca nie pokonali.

Anat położyła uspokajającym gestem dłoń na ramieniu swego kolegi.

— Pozwól mu mówić, Boaz. On zna wartość tego, co robimy.

— Oczywiście — stwierdził szybko Moni — każdy akt oporu jest wartościowy sam w sobie, ale nie możemy ciągnąć tego w nieskończoność. Nie mogą nas powstrzymać, ale my z kolei nie potrafimy wyrządzić im poważnej szkody. Zaangażowani w codzienną walkę tracimy z oczu nasz główny cel!

— Czy jest jakaś inna możliwość? — zapytała Anat.

Moni kiwnął głową.

— Wyłania się właśnie teraz. Naukowcy i historycy z Centralnego Komitetu mają pewien plan. Jest niebezpieczny i być może nawet samobójczy, ale daje szansę wyzwolenia całej planety. Wymaga przeprowadzenia specjalnej misji, w której może wziąć udział tylko kilku z nas. Do jej składu zarekomen dowąłem całą waszą trójkę... oczywiście pod warunkiem, że

zgłosicie się na ochotnika.

Anat pochyliła się gwałtownie do przodu. Jej szczupła twarz znalazła się w blasku ognia.

— Zgłaszamy się. Wszyscy troje. Nie musisz nas o to pytać. Teraz zdradź nam szczegóły planu.

Moni przez chwilę przyglądał się w milczeniu ich rozplamionym twarzom. Być może wysyłał ich właśnie na śmierć.

— Mogę przedstawić wam tylko ogólny zarys. Podobnie jak wy muszę się znaleźć przed świtem z powrotem w obozie. Teraz mogę powiedzieć tylko jedno: chcemy wysłać was w przeszłość.

Kontroler Sektora Pierwszego Ziemi odsunął na bok resztki wspaniałego posiłku i ze smakiem wysączył ostatnie krople wina — prawdziwego wina nalanego do prawdziwej porcelanowej filiżanki! Niewielu ludzi na Ziemi w tych czasach stać było na takie luksusy. Zrobiło mu się przez chwilę nieprzyjemnie na myśl o swoich mniej szczęśliwych współziomkach: tych, którzy wegetowali w obozach pracy. Teraz pewnie łykali przydziałową' zupę, wylizując do czysta miski, tak aby nie zmarnowała się najmniejsza cząstka pożywienia...

Przed wyjściem z pokoju Kontroler zatrzymał się na chwilę przed lustrem, żeby zaczesać do tyłu włosy i wygładzić kurtkę. Kolejny luksus, pomyślał. Kurtka miała ten sam krój co u wszystkich, ale była uszyta z materiału. Z prawdziwego materiału, nie z plastiku! Wziął do ręki plik raportów, które przeglądał podczas obiadu, i westchnął. Wiedział, jak bardzo mu zazdrozczono i jak powszechną nienawiścią był otoczony. Ludzie nie zdawali sobie sprawy, że z jego funkcją wiązą się pewne przykre obowiązki. I ciężka, bezustanna praca. A teraz

musiał udać się do Nich i złożyć raport, którego, na dodatek, wcale nie będą chcieli wysłuchać.

Zmobilizowawszy się wewnątrz, wyszedł ze swej prywatnej jadalni i ruszył nie kończącymi się korytarzami Centralnego Ośrodka Kontrolnego w stronę kwatery głównej. Pracujący tu ludzcy niewolnicy ustępowali mu z szacunkiem z drogi. Sytuacja zmieniła się jednak, kiedy dotarł do celu swej wędrówki. Po obu stronach drzwi stali na straży Ogronowie i kiedy chciał wejść do środka, jeden z nich machnął niecierpliwie łapą, dając mu znak, żeby się oddalił. Kontroler próbował ocalić resztki godności.

— Wiecie przecież, kim jestem. Głównym Kontrolerem całego sektora. Powinniście okazać należny mi szacunek. — Ogron spojrział na niego zupełnie nieporuszony i Kontroler skulił w obronnym geście ramiona. Wiedział, że bestia widzi w nim tylko człowieka. Jednego z wielu niewolników. — Nie rozumiecie? — zapytał stłumionym głosem. — Muszę złożyć waszym panom ważny raport. Jeśli mnie nie wpuścicie, będą na was źli — dodał, stosując tę samą taktykę, co poprzedniej nocy Moni. Ogron chrząknął głośno.

— Ty poczekać! — powiedział i pozostawiając Kontrolera pieczy swego towarzysza, wszedł do środka. Po kilku chwilach powrócił. — Ty wejść — oznajmił.

Kontroler wszedł do obszernego przedpokoju i w milczeniu czekał. Po chwili odsunęła się przed nim cała ściana i wszedł do kolejnego pomieszczenia.

Był to niewielki, kompletnie pusty pokój, z podwyższoną w drugim końcu podłogą. Po jakimś czasie odsunęła się kolejna ściana i do środka wtoczyła się metalicznie lśniąca postać. Jej osadzone na słupku oko omiotło całe pomieszczenie i zatrzy-

mało się na Kontrolerze. Ten pochylił z szacunkiem głowę. Miał przed sobą Czarnego Daleka, jednego z najwyższych władców, rządzących Ziemią w dwudziestym drugim stuleciu.

— Złóż raport! — rozkazał swoim zgrzytliwym metalicznym głosem Czarny Dalek.

— Przystudiowałem kilka ostatnich raportów na temat działalności ruchu oporu, ekscelencjo — powiedział Kontroler, próbując opanować drżenie głosu. — W ciągu ostatnich kilku tygodni nastąpiła jej prawdziwa eskalacja. Wydaje mi się, że planują przeciwko wam jakąś poważną operację.

— Ludzie, których określasz jako członków ruchu oporu, to pospolici przestępcy. Są wrogami Daleków. Masz ich odnaleźć i zlikwidować.

Kontroler westchnął. Zawsze powtarzało się to samo: był wydawany bezbarwnym tonem nierealny rozkaz. Dalekowie najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z odwagi i sprytu członków ruchu oporu i beznadziejnej głupoty Ogronów, którzy mieli sobie z nimi poradzić.

— Ostatnie akcje noszą pewną wspólną cechę, ekscelencjo — powiedział, nie dając za wygraną. — Otrzymaliśmy kilka doniesień na temat kradzieży dokumentacji oraz sprzętu związanego z waszymi badaniami nad przemieszczaniem się w czasie.

Czarny Dalek przez chwilę nie odpowiadał, Kiedy się w końcu odezwał, jego zgrzytliwy głos podniósł się o kilka tomów wyżej. Kontroler zadrżał. Wiedział, że jest to oznaką gniewu.

— Będziemy pilnie strzegli Wiru Czasu — oznajmił Dalek. — Jeśli ludzie spróbują podróżować w czasie, dopadniemy ich i zniszczymy. — Jego głos podniósł się jeszcze bardziej, kiedy wyrzucał z siebie groźby, które stanowiły jedyne credo Daleków: — Oni są wrogami Daleków! Wszyscy wrogowie Daleków muszą zostać zniszczeni! Zlikwidować ich! Zlikwidować! Zlikwidować!



## 2

### *Człowiek, który zobaczył ducha*

W zagajniku rosnącym nie opodal Austerly House zahukała nagle sowa. Patrolujący teren żołnierz brytyjskiej sekcji UNIT obrócił się na pięcie z gotowym do strzału pistoletem maszynowym Sterling, a potem, śmiejąc się sam z siebie, ruszył powoli w dalszy obchód. Nie ma co, pomyślał, taka noc może wyprowadzić z równowagi każdego. Wiatr szumiał złowrogo w gałęziach drzew, a czarne chmury zasłaniały co jakiś czas księżyc w pełni i srebrna poświata ustępowała miejsca kompletnej ciemności. Na dodatek przez cały czas rozlegały się jakieś tajemnicze nocne odgłosy. Wartownik pochodził z Londynu i byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby kazano mu pilnować bardziej cywilizowanego miejsca — takiego gdzie palą się miejskie latarnie, a człowieka mijają co jakiś czas przechodnie.

Maszerując wysypaną żwirem ścieżką, która biegła wokół domu, przyjrzał się rzędowi okien i oszklonych drzwi. Wszystkie były ciemne — wszystkie oprócz gabinetu na parterze, gdzie spomiędzy nie zasuniętych do końca kółar padała smuga światła. Nikt nie może powiedzieć, że stary Styles się leni, pomyślał wartownik. Minęła północ, a on wciąż ślęczy za biurkiem. Przypomniał sobie, co usłyszał od brygadiera podczas odprawy.

— Sytuacja międzynarodowa przybrała paskudny obrót. Istnieje całkiem realna możliwość, że wydarzenia na Bliskim Wschodzie przerodzą się w konflikt na dużą skalę. W każdej

chwili możemy się znaleźć na skraju trzeciej wojny światowej. Pokój zależy od wyniku zbliżającej się konferencji, a wynik tej



konferencji zależy od jednego człowieka: sir Reginalda Styłesa. W twoich rękach znajduje się jego bezpieczeństwo.

Światowy pokój... zadumał się wartownik. Olbrzymia odpowiedzialność jak na barki tego wysokiego, siwego mężczyzny. Nic dziwnego, że staruszek był trochę poirytowany. Tak czy owak, nie powinno mu nic grozić, jeśli się weźmie pod uwagę, ilu żołnierzy stacjonuje na całym terenie, przy bramie wjazdowej i w samym domu. Zerknąwszy ostatni raz w stronę okna, wartownik odwrócił się i ruszył z powrotem.

Kiedy zniknął za rogiem budynku, coś dziwnego zamigotało w powietrzu. Nagle na alejce, zupełnie nie wiadomo skąd, pojawił się mężczyzna. Miał na sobie ciemny mundur polowy: kurtkę, spodnie i wysokie buty. Przy boku wisiał w kaburze potężny pistolet.

Mężczyzna nie miał żadnych wojskowych odznak ani insygniów, ale wyglądał jak żołnierz... lub jak członek formacji paramilitarnej albo partyzant.

Przywarł do ściany budynku, a potem zaczął ostrożnie przesuwac się w stronę oświetlonych oszklonych drzwi.

Ciszę wewnątrz gabinetu zakłócało tylko cykanie zegara i skrobanie pióra po papierze. Sir Reginald przygotowywał notatki do przemówienia, które miał wygłosić podczas zbliżającej się konferencji. „Jest zatem sprawą kluczową — napisał — aby rząd chiński przyjął deklarację...”

Nagle przestał pisać i podniósł wzrok. Cóżś działo się przy oszklonych drzwiach. Miał wrażenie, że słyszy jakieś pukanie albo zgrzyt, jakby ktoś odsuwał rygiel. Nie, to tylko złudzenie. Te zastrzone rygory bezpieczeństwa działały mu po prostu na nerwy. Jak mógł w ogóle pracować, kiedy w domu stacjonowało tylu żołnierzy? Zaczął z powrotem pisać: „...aby rząd

chiński przyjął deklarację dobrej woli".

Hałas rozległ się ponownie. Sir Reginald wstał z fotela. Być może to jeden z wartowników sprawdzał drzwi.

— Kto tam? — zawołał. — Czy ktoś tam jest? — Żadnej odpowiedzi. Podeszedł szybkim krokiem do oszklonych drzwi i otworzył je na oścież.

Naprzeciwko stał, celując z olbrzymiego pistoletu prosto w jego głowę, młody mężczyzna, ubrany w nieokreślony bliżej partyzancki mundur. Minęło wiele lat, odkąd sir Reginald odszedł z czynnej służby, ale nie osłabiło to bynajmniej jego refleksu. Rzuciwszy się na mężczyznę złapał go za rękę trzymającą pistolet i nie puszczał jej, kiedy napastnik wepchnął go z powrotem do gabinetu. Dwaj mężczyźni zaczęli kręcić się w kółko, strącając z biurka lampę, która roztrzaskała się o podłogę. Potem przewrócili i połamali krzesło. Sir Reginald trzymał oburącz dłoń napastnika, rozpaczliwie starając się odebrać mu broń. Wynik tej nierównej walki mógł być tylko jeden: sir Reginald dawno już przekroczył sześćdziesiątkę, partyzant był młody i silny. Przygwoździł do podłogi starszego mężczyznę i powoli obrócił broń, celując z niej prosto w jego głowę. Sir Reginald zobaczył wymierzoną w siebie lufę. Widział i czuł wszystko z niezwykłą jasnością, tak jakby działo się to w zwolnionym tempie. Średnica lufy wydawała mu się bardzo duża. Nad nią widział wykrzywioną wściekle twarz partyzanta. Widział, jak bieleje knykięc zaciśniętego na spuście palca. Chwycił oburącz żyłasty nadgarstek napastnika, ale ten był twardy jak skała. Ręce sir Reginalda ześlizgnęły się w dół. A potem nagle, nie do wiary, zaciśnęły się puste. Cała postać partyzanta zamigotała i rozplynęła się w powietrzu. Kiedy drzwi gabinetu otworzyły się na oścież, sir Reginald leżał na

podłodze, walcząc z własnym cieniem.

Kapral UNIT pomógł mu się podnieść; dyplomata trząsał się z przejęcia. Podbiegła do niego jego sekretarka, panna Paget.

— Co się stało, panie Reginaldzie? Dobrze się pan czuje?

Styles posłał jej półprzytomne spojrzenie.

— Zaatakował mnie! Zaatakował mnie! Próbował mnie zabić! — sapał rozgorączkowany.

Jeden z wartowników zatrzymał się przy oszklonych drzwiach.

— Widziałeś kogoś? — zapytał kapral.

Wartownik potrząsnął głową.

— Przybiegłem natychmiast, kiedy usłyszałem hałas, panie kapralu. Nikt tędy nie wychodził.

— Kto pana zaatakował, proszę pana? — zapytał kapral, zwracając się do sir Reginalda. — Kogo pan widział?

— On zniknął... Rozpłynął się w powietrzu... jak duch — odparł powoli dyplomata.

Brygadier Alastair Lethbridge-Stewart oparł wyczyszczone na glans buty o blat biurka, przycisnął słuchawkę podbródkiem i czekał, aż minister przestanie mu jazgotać do ucha.

Kątem oka zerknął na zamieszczony na pierwszej stronie „Timesa” tytuł: „Kryzys na Bliskim Wschodzie — wojna wisi na włosku”. Gdyby to było możliwe, chętnie wróciłby do swego pułku. Przyjemnie byłoby założyć znowu szkocką spódniczkę. Nagle zdał sobie sprawę, że głos przy jego uchu nagle umilkł.

— Oczywiście, panie ministrze — powiedział. — Oczywiście.

Jazgotanie rozległo się ponownie. Brygadier westchnął i

przerwał grzecznie, lecz stanowczo, potok słów dygnitarza.

— Mam przed sobą raport, panie ministrze. Wartownik stacjonujący wewnątrz domu usłyszał odgłosy walki i wbiegł do środka. Nie licząc samego sir Reginalda, gabinet był pusty.

Z drugiej strony linii połały się kolejne pretensje.

— Nie, panie ministrze — odparł brygadier — wcale nie proponuję zignorować całej sprawy. — Ponieważ w gruncie rzeczy to właśnie miał na myśli, musiał zastanowić się przez kilka sekund nad następną kwestią. Po chwili doznał olśnienia.

— Tak się składa, panie ministrze — powiedział, kłamiąc w żywe oczy — że miałem zamiar przekazać ją jednemu z moich najlepszych ludzi. Kiedy pan zadzwonił, chciałem go właśnie poinstruować — dodał, pozwalając, żeby w jego głosie zabrzmiała lekka wymówka.

W laboratorium doradcy naukowego UNIT panował kompletny bezruch. Pomiedzy stolikami były zawieszona tajemnicze przewody. W rogu stała zupełnie tutaj nie pasująca solidna niebieska policyjna budka. Nagle z jej środka zaczęły dobiegać przedziwne zgrzyty i jęki. Od wstrząsających nią wibracji zabręczały retorty i laboratoryjne próbówki. Zgrzytanie stało się coraz głośniejsze, a potem rozległ się potężny huk i na zewnątrz wyskoczył w chmurze dymu wysoki, szczupły mężczyzna. Zatrzasnął za sobą drzwi i zaczął płynnie kłać w niezrozumiałym marsjańskim dialekcie.

Do laboratorium weszła bardzo drobna i bardzo ładna dziewczyna. Nie dziwiąc się niczemu, poklepała kaszłającego Doktora po plecach, dała mu szklankę wody i otworzyła okno, żeby wypuścić dym.

— Wpadł pan znowu w pętlę, Doktorze? — zapytała ze

współczuciem Jo Grant.

Doktor kiwnął głową, popijając z ponurą miną wodę.

— Można oszaleć. Byłem już tak blisko. Gdyby tylko udało mi się odłączyć ich sterowanie pierwotne obiegu dematerializacji...

Podniósł plik notatek i zaczął je nerwowo przeglądać. Jo posłała mu ciepłe spojrzenie. Czasami Doktorowi wydawało się, że jego asystentka z równą co on łatwością łapie w lot najtrudniejsze teorie naukowe. Innym razem miał denerwujący zwyczaj rozwlekłego tłumaczenia jej, że dwa i dwa równa się cztery.

Zaraz po wstąpieniu do brytyjskiej sekcji UNIT Jo Grant była święcie przekonana, że opowieści Doktora o podróżach w czasie i przestrzeni w policyjnej budce, opatrzonej kryptonimem TARDIS (skrót ten oznaczał Time and Relative Dimensions in Space, czyli Czas i wymiary względne w przestrzeni), to tylko nieszkodliwe żarty. Ostatnie eksperymenty zmieniły jej nastawienie. Wyłączony czasowo na mocy dekretu wydanego przez tajemniczych zwierzchników Doktora, Władców Czasu, TARDIS zaczął ponownie funkcjonować i Jo znalazła się nagle w samym środku pasjonujących wydarzeń, które rozgrywały się na innej planecie w odległej przyszłości.

— Myślałam, że TARDIS znowu zaczął działać — powiedziała, mając w pamięci niedawną przygodę.

— TARDIS, moja droga, był wtedy zdalnie sterowany przez Władców Czasu... tylko dlatego, że chcieli, abym wykonał za nich brudną robotę!

— Ale jeśli TARDIS działa zgodnie z ich życzeniami... — upierała się Jo.

— Nie chcę, żeby pracował dla nich — przerwał jej poiry-

towany Doktor. — Chcę, żeby pracował dla mnie. Nikt nie zrobi ze mnie międzyplanetarnej marionetki. — Nagle wpadł mu najwyraźniej do głowy jakiś znakomity pomysł. — Oczywiście! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej!

Obrócił się na pięcie i wbiegł z powrotem do budki. Przez otwarte drzwi Jo widziała, że pochyła się nad konsolą i zawięzanie manipuluje pokrętkami. Nagle otworzyły się drzwi laboratorium. Joe podniosła wzrok i ku swemu zdziwieniu zobaczyła stojącego w nich Doktora.

Zaskoczona zerknęła z powrotem do środka budki, gdzie Doktor wciąż pochyłał się nad pulpitem. Spojrzała w stronę drzwi. Tam również znajdował się Doktor, który uważnie się jej przyglądał. Ale czekała ją jeszcze większa niespodzianka. Za plecami Drugiego Doktora pojawiła się kolejna osoba. Była to ona sama.

Dwie Jo Grant przypatrywały się sobie z rosnącym zdumieniem.

— Dobrze sobie — odezwał się Doktor przy drzwiach. — No tak... oczywiście. Teraz sobie przypominam. — Posłał Jo swój słynny uroczy uśmiech, ale ona nadal wpatrywała się w niego z osłupieniem. — Nie przejmuj się, moja droga. Wiem, że jesteś mocno zaniepokojona, ale...

Przerwał nagle, widząc swego sobowtóra, który wyszedł z budki. Pierwszy Doktor nie podzielał jednak wcale zdumienia Jo. Przyjrzał się swemu drugiemu ja z uprzejmym zainteresowaniem.

— O nie! A ty co tutaj robisz?

Nowo przybyły potarł z zakłopotaniem podbródek.

— Nie przejmuj się... właściwie mnie tutaj nie ma... — odparł przeproszającym tonem. — To znaczy... w pewnym sensie to ja

jestem tutaj, a ciebie nie ma. Wszystko to trochę trudno wytłumaczyć...

— Przyznasz chyba, że to nie ma sensu — przerwał swemu drugiemu ja Doktor. — Nie możemy istnieć jednocześnie.

— Nie martw się, staruszkule — oświadczył pogodnym tonem drugi Doktor. — Wszystko to... — zaczął, a potem zniknął w połowie zdania, razem z drugą Jo. Pierwszy Doktor pokiwał z satysfakcją głową i ruszył z powrotem w stronę budki.

— Chwileczkę — zaprotestowała Jo. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Obawiam się, że musiałem przeładować obieg czasowy, Jo. W rezultacie doszło do miejscowego zniekształcenia. — Jo spojrzała na niego, wciąż skonsternowana. Doktor zachichotał. — Czas to bardzo śmieszna rzecz. Kiedy zacznie się przy nim manipulować, zdarzają się najdziwniejsze historie.

— Ale tam był mój sobowtór... i pański sobowtór. Dokąd oni poszli? — zapytała Jo.

— Z powrotem do własnego strumienia czasu, oczywiście. Czy też powinienem raczej powiedzieć: w przyszłość?

— Ależ... — zaprotestowała po raz ostatni Jo.

Doktor machnął uspokajająco ręką.

— Nie przejmuj się, moja droga. Po prostu efekt uboczny. Teraz naprawdę muszę wracać do pracy.

Zniknął już prawie w swojej budce, kiedy drzwi laboratorium otworzyły się ponownie. Joe podniosła z przerażeniem wzrok, ale tym razem był to tylko brygadier.

— Tu pan jest, Doktorze. Potrzebuję pilnie pańskiej pomocy.

Jo widziała, że jej szef wcale nie jest zachwycony tą nową wizytą. Przygotowała się na nieuniknione starcie.

— Przykro mi, brygadierze — oświadczył szorstko Doktor

— ale tak się składa, że jestem wyjątkowo zajęty.

— Podobnie jak ja, Doktorze. Słyszał pan może o sir Reginaldzie Stylesie?

— Nie — odparł zdecydowanym tonem Doktor, pochylając się nad swymi notatkami.

— Czy to nie jest przypadkiem szef brytyjskiej misji przy Organizacji Narodów Zjednoczonych? — zapytała Jo, starając się zażegnać konflikt.

— Zgadza się, panno Grant. Odgrywa również kluczową rolę w przygotowaniach do mającej się wkrótce odbyć konferencji na szczycie.

— Jestem naukowcem, a nie politykiem, mój drogi brygadierze — oświadczył Doktor, podnosząc na chwilę wzrok.

— Gdyby nie dłubał pan bez przerwy w tym swoim zdezelowanym urządzeniu — odparł z głośnym westchnieniem oficer — być może wiedziałby pan, jak fatalny obrót przybrała sytuacja międzynarodowa.

— Wy, ludzie, ciągle się o coś kłóćcie — zauważył sarkastycznie Doktor.

— Ta konkretna kłótnia może doprowadzić do wybuchu trzeciej wojny światowej.

W głosie brygadiera zabrzmiał prawdziwy niepokój. Nastawienie Doktora od razu się zmieniło.

— Jest aż tak źle, mój stary?

Oficer usiadł na laboratoryjnym stołku.

— Cała awantura zaczęła się na Bliskim Wschodzie. Ale w gruncie rzeczy to jest trójstronny spór między Rosją, Chinami i Ameryką. Chodzi o podział stref wpływów.

— A Wielka Brytania zorganizowała tę konferencję na szczycie — wtrąciła Jo — aby przedstawiciele trzech mo-



carstw mogli się spotkać i zażegnać konflikt.

— Ma pani rację, panno Grant. Jednak w ostatnim momencie odmówili swego udziału Chińczycy. Bez nich konferencja nawet się nie zacznie. Sir Reginald Styles odlatuje za kilka godzin do Pekinu. Chińczycy ufają mu. Istnieje szansa, że być może skłoni ich do zmiany zdania.

— W porządku, brygadierze — oświadczył Doktor, odkładając na bok notatki. — Przekonał mnie pan, że sytuacja jest poważna. Gdzie mam interweniować?

— Styles *zaczął* się dziwnie zachowywać. Ostatniej nocy oświadczył, że ktoś usiłował go zabić w jego własnym domu. Tego ranka wszystkiemu zaprzeczył. Rozumie pan, na czym polega problem. Jeśli Styles nie poleci do Pekinu, konferencja może się nie odbyć. Z drugiej strony nie możemy go tam puścić, jeśli postradał zmysły.

— A może wcale ich nie postradał? — zapytała Jo. — Może mówił prawdę?

— O to właśnie chodzi. Moi ludzie twierdzą, że nikogo tam nie było. Nie mogło być.

Brygadier zdał krótko relację z wydarzeń ubiegłej nocy.

— Z tego, co pan mówi o Styksie, nie wydaje się on facetem, który byłby skłonny do halucynacji — oświadczył z zamyśloną miną Doktor. — Więc na pewno coś się stało. Pytanie tylko co? Czy Styles powiedział coś więcej... mam na myśli to, co powiedział ubiegłej nocy?

23

Oficer wzruszył ramionami.

— Bełkotał tylko bez przerwy o jakimś duchu.

Na polanie w lesku niedaleko Austerly House nagle coś zamigotało i zawirowało w powietrzu, a potem pojawił się męż-

czynna. Jeszcze przed chwilą go nie było, teraz stał tuż obok kępy paproci. Miał na sobie wykonany z trwałego materiału strój partyzanta, a przy boku tkwiący w kaburze potężny pistolet.

Rozejrzał się szybko dookoła, a potem słysząc niedaleko jakieś szmery, przypadł wyszkolonym ruchem do ziemi i przeturlał się pod paprocie. Kilka sekund później jego głowę minęły zaledwie o kilkanaście centymetrów wysokie buty żołnierzy UNIT. Kiedy patrol oddalił się, mężczyzna wstał i zaczął ostrożnie posuwać się w stronę domu. Nagle dokładnie przed nim ponownie zamigotało coś w powietrzu i między drzewami pojawiły się trzy blokujące mu drogę potężne postaci. Partyzant wpadł w panikę. Ogronowie! Dogonili go, przemieszczając się w czasie.

Nie starając się już zachować ciszy, odwrócił się i pobiegł, ile miał sił w nogach, w przeciwnym kierunku. Za sobą słyszał tupot przedzierających się przez zarośla, ścigających go olbrzymów. Wiedział, że przynajmniej na razie może się od nich trochę odsądzić. Zwalista budowa ciała sprawiała, że Ogronowie byli powolni i niezgrabni. Ale wiedział również, że są bezgranicznie wytrzymali. Kiedy on będzie łapał ostatni oddech, oni wciąż będą mieli zapas świeżych sił. A jeśli go dopadną... Przy odrobinie szczęścia czekała go natychmiastowa śmierć; w innym wypadku niewola i powrót do własnej strefy czasowej, gdzie zostanie przesłuchany przez Daleków.

Partyzant wybiegł z lasu na otwartą przestrzeń. Łatwiej było tu posuwać się naprzód. Niestety ułatwiło to również pogoń jego prześladowcom. Trzej Ogronowie nie dawali za wygraną. Uciekinier zobaczył przed sobą wysoki mur otaczający jakąś posiadłość, i przyspieszając rozpaczliwie kroku ruszył w jego

stronę.

Tymczasem do pościgu przyłączyła się trzecia grupa. Sierżant Benton z UNIT nie posiadał się z oburzenia, kiedy rutynowy patrol zakłóciły odgłosy, przypominające tratowanie buszu przez stado słoń. Poprowadził swoich ludzi szybkim truchtem w stronę, z której dobiegał hałas. W biegu zdejmowali z ramion pistolety maszynowe Sterling.

Uciekający partyzant dobiegł do muru i dał rozpaczliwego susa w górę, czepiając się palcami cegieł. Przez chwilę wisiał nieruchomo w powietrzu, trzymając się krawędzi, a potem powoli i z wysiłkiem podciągnął się i zeskoczył na drugą stronę.

Kiedy Benton i jego ludzie wybiegli z lasu, uciekinier właśnie zniknął z pola widzenia. Żołnierze wpatrywali się ze zdumieniem w Ogronów, którzy wspięli się z małpią zręcznością na mur i także zniknęli im z oczu.

— Za nimi! — krzyknął Benton. — Kimkolwiek są — dodał pod nosem.

Członkowie patrolu ruszyli sprintem w stronę muru i zaczęli się nań wspinać.



Partyzant dyszał teraz ciężko i zwalniał z każdym krokiem; pokonanie muru kosztowało go dużo czasu. Ogronowie byli bardzo blisko. Kilkadziesiąt metrów dalej widział prowadzący równoległe do drogi, ogrodzony płotem pas ziemi. Jego środkiem biegły dwie szyny. No tak... to była kolej. Prymitywny dwudziestowieczny środek transportu. Trochę dalej tory zniknęły w ciemnej czeluści. Tunel. Mógł ukryć się w ciemności, użyć transmitera i wrócić do własnej strefy czasowej. Wbiegał już prawie do tunelu, kiedy nagle poślizgnął się na kamieniu i oszołomiony upadł na ziemię.

Ogronowie rzucili się na niego z dzikim okrzykiem triumfu. Próbował wstać, ale ugięły się pod nim nogi. Sięgnęły po niego wielkie owłosione łapska; potężny cios posłał go na ziemię.

Z tyłu nadbiegł Benton i jego ludzie.

— Dajcie strzał ostrzegawczy! — polecił sierżant. Nad głowami Ogronów przeleciała seria z pistoletu maszynowego. Jeden z nich wyjął z kabury przy boku dziwny wielki pistolet i odpowiedział ogniem. Rozległo się ostre elektroniczne bzyczenie i stojący obok sierżanta Bentona żołnierz po prostu zniknął. Rozpłynął się w powietrzu, jakby całe jego ciało rozpadło się na pojedyncze molekuly.

— Kryć się! — wrzasnął Benton. Żołnierze przypadli do ziemi, szukając jakiejś osłony i strzelając do Ogronów. Dziwne stworzenia zachwiały się pod gradem pocisków, ale nie padły. Na dany przez ich przywódcę znak wbiegły do tunelu, zostawiając na ziemi powykręcane ciało partyzanta.

Patrol UNIT pognał za nimi w stronę tunelu.

— Jeden z was niech się nim zajmie — zakomenderował Benton, wskazując nieprzytomnego uciekiniera. — Wy dwaj, obsadźcie wylot tunelu z drugiej strony. Kimkolwiek są te

straszydła, już nam teraz nie uciekną — stwierdził, po czym ostrożnie, z gotową do strzału bronią, ruszył wraz ze swymi ludźmi w czarną czeluść.

### 3

#### *Znikający partyzant*

Stojący w gabinecie sir Reginalda Stylesa w Austerly House Doktor, brygadier i Jo Grant słuchali relacji o wydarzeniach z poprzedniej nocy. Panna Paget, sekretarka sir Reginalda, była szczupłą pięćdziesięcioletnią kobietą o wyrazistych rysach — idealny przykład sekretarki wysokiego dygnitarza. Rzucało się w oczy, że jest głęboko oddana swemu pracodawcy i że bardzo poruszyło ją jego dziwne zachowanie.

— Proszę, niech pani kontynuuje, panno Paget — poprosił budzącym zaufanie głosem Doktor.

— To chyba wszystko, naprawdę. Sir Reginald powiedział, że ktoś go zaatakował. Ale w gabinecie po prostu nikogo nie było.

— Użył zdaje się słowa „duch”.

— O tak. Bardzo mnie to uderzyło. Widzi pan, sir Reginald zawsze z pogardą odnosił się...

Panna Paget umilkła nagle, jakby ktoś ją wyłączył. Do gabinetu wmaszerował we własnej osobie sir Reginald.

— Co się tutaj dzieje? — zapytał, posyłając<sup>23</sup> im gniewne spojrzenie.

— Ci panowie są z brytyjskiej sekcji UNIT — odpowiedziała panna Paget.

— A kto ich tutaj prosił? I tak po terenie kręci się już wystarczająca liczba żołnierzy.

— Ja ich tutaj poprosiłam — odparła drżącym, lecz zdecydowanym głosem panna Paget. — Z powodu tego, co wyda-

rzyło się ubiegłej nocy.



— Zeszłej nocy nic się nie wydarzyło — oświadczył chłodno Styles.

Panna Paget umilkła zmieszana.

— Najwyraźniej jednak miał tutaj wczoraj miejsce jakiś incydent, sir Reginaldzie — stwierdził stanowczym tonem brygadier.

Styles nie był przyzwyczajony, żeby mu się sprzeciwiano. Wyglądał, jakby za chwilę miał eksplodować.

— Może po prostu pan nam opowie, co się naprawdę zdarzyło, sir Reginaldzie? — wtrąciła taktownie Jo, posyłając mu jeden ze swych najbardziej uroczych uśmiechów.

Styles był za dobrze wychowany, żeby napadać na kogoś, kto nie różnił się wiele od dziecka.

— Pracowałem do późna w nocy — oznajmił znużonym głosem — i musiałem zdrzemnąć się za biurkiem. Przewróciłem lampę i porozrzucałem dokumenty. Obudziłem się półprzytomny. Zbierałem właśnie papiery, kiedy do gabinetu wbiegli panna Paget i wartownik. Wiele hałasu o nic.

Sir Reginald zupełnie nie potrafił kłamać i Jo zrobiło się go prawie żal, kiedy toczył po nich gniewnym wzrokiem, próbując zachować własną godność. Doktor tymczasem podszedł do prowadzących do ogrodu oszklonych drzwi i wydawał się pilnie studiować deseń dywanu.

— Wspomniał pan jednak coś o duchu — upierał się brygadier. .

25

— Naprawdę? Musiał przyśnić mi się jakiś koszmar.

— Co znaczą w takim razie te ślady? — zapytał spokojnie Doktor, wskazując ręką na podłogę. — Ślady zabłoconych butów, sir Reginaldzie. Ktoś musiał tu być.

— Na pewno zostawił je wartownik.

Doktor pokręcił głową.

— Według panny Paget, wartownik patrolujący teren wokół domu w ogóle tu nie wchodził.

— Oskarża mnie pan o to, że kłamię? — zapytał grzmiącym głosem Styles.

— Znajduje się pan ostatnio w dużym stresie — wtrącił pośpiesznie brygadier. — Może był pan wczoraj trochę niezdrów?

— Czułem się i czuję wprost znakomicie — warknął sir Reginald. — Teraz musi mi pan wybaczyć, brygadierze, ale naprawdę nie mogę sobie pozwolić na dalszą stratę czasu. Gdzie jest ten samochód? — zwrócił się do panny Paget. — Za dwadzieścia minut mam być na lotnisku.

— Czeka na pana, sir.

Jo zobaczyła, że brygadier posyła szybkie spojrzenie Doktorowi. Wyczuła wiszące w powietrzu pytanie.

— W takim razie nie możemy pana dłużej zatrzymywać, sir Reginaldzie — powiedział Doktor. — Pozwoli pan, że będę mu życzył, aby jego misja zakończyła się sukcesem.

Przez moment sir Reginald wydawał się lekko zbity z tropu. A potem skinął krótko głową na pożegnanie, odwrócił się i wyszedł z gabinetu. W ślad za nim wybiegła panna Paget. Po chwili w drzwiach pojawił się zastępca brygadiera, kapitan Yates.

<sup>26</sup> Telefon od sierżanta Bentona, panie brygadierze.

Kiedy Lethbridge-Stewart opuścił gabinet, Jo podeszła do Doktora.

— O co tutaj chodzi? — zapytała półgłosem. — Coś wydarzyło się jednak ubiegłej nocy, prawda?

Doktor kiwnął głową.

— W takim razie dlaczego sir Reginald wszystkiemu zaprzecza?

— Cokolwiek się zdarzyło, moja droga Jo — odparł łagodnie Doktor — było to coś do tego stopnia niezwykłego, że sir Reginald nie może w to uwierzyć. Uważa, że miał halucynacje.

— Dlaczego więc po prostu tego nie powie?

Doktor westchnął.

— Czy przyznałabyś się do tego, że cierpisz na halucynacje, w przededniu rozpoczęcia ważnej misji?

— Rozumiem — odparła pogodnie Jo. — Dlatego właśnie udał pan, że mu wierzy.

— Nie można było inaczej zareagować. Sir Reginald jest lekko wstrząśnięty, ale pozostaje w pełni władz umysłowych. A tej waszej małej planecie obecnie są bardzo potrzebne jego usługi.

W drzwiach pojawił się brygadier.

— Doktorze, panno Grant, pozwólcie ze mną. Niedaleko posiadłości doszło do jakiejś strzelaniny.

Schodząc po schodkach, prowadzących do głównego wejścia do Austerly House, zobaczyli odjeżdżającą limuzynę Stylesa. Brygadier przyglądał się jej przez chwilę z wyraźnym niepokojem, a potem wskazał Jo i Doktorowi czekający na nich dziup. Kapitan Yates zapalił silnik i wojskowy pojazd ruszył szybko, wyrzucając żwir spod kół.

Po pięciu minutach zatrzymali się na drodze obok wjazdu do tunelu kolejowego. Czekał tam na nich z wyraźnie zatroskaną miną sierżant Benton.

— Dzień dobry, sierżancie — pozdrowiła go wesoło Jo. Ale Benton był tak przejęty, że skinął tylko na powitanie głową.

— Tędy, panie brygadierze — powiedział, prowadząc ich

przez pole w stronę tunelu i relacjonując przebieg wypadków skrajnie sceptycznemu brygadierowi.

— Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem — przerwał mu w końcu Lethbridge-Stewart. — Ten facet pojawił się zupełnie znikąd, a ci inni... te dziwne stworzenia rzuciły się za nim w pogoń.

— Zgadza się, panie brygadierze — przytaknął Benton. — Wyglądały jak małpy. Jak jacyś jaskiniowcy albo goryle.

— Rozumiem. Uzbrojone, ubrane od stóp do głów goryle? — wycedził powoli brygadier.

Benton pokiwał markotnie głową.

— W takim razie gdzie się, do diabła, podziały, sierżancie Benton? Powiedział pan, że wziął je pan w pułapkę w tunelu. Może pan je wszystkie wyłapał albo pozabijał?

Benton przełknął z trudem ślinę.

— Nie, panie brygadierze. Wzięliśmy ich w dwa ognie. Dwa patrole spotkały się w środku tunelu. Był pusty.

— Widzieliście, jak tu wchodzi, kontrolowaliście oba wyjścia i tunel okazał się pusty? — zapytał z niedowierzaniem Lethbridge-Stewart.

Benton ponownie kiwnął głową.

— Może tam w środku są jakieś drzwi? — zapytał z nadzieją brygadier. — Jakiś rodzaj tajnego przejścia?

Sierżant potrząsnął głową.

<sup>28</sup> Sprawdziliśmy, panie brygadierze. Każdy centymetr. To po prostu zwyczajny tunel kolejowy. Od dłuższego czasu nie używany. Tę linię zamknięto przed wielu laty.

Doktor pochylił się nad nieprzytomnym mężczyzną w partyzanckim stroju.

— On jest w fatalnym stanie. Podejrzewam wstrząs mózgu.

Powinien jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

— Ambulans jest już w drodze, Doktorze — oświadczył Benton. — Odwieziemy go do specjalnej kliniki UNIT.

Brygadier podniósł leżący u boku partyzanta dziwnie wyglądający pistolet.

— Co pan o tym sądzi, Doktorze? — zapytał.

Doktor zbadał z zainteresowaniem broń.

— Pierwszy raz widzę coś takiego. Ale w tej chwili bardziej zaintrygował mnie ten przedmiot. Miał to schowane pod kurtką — powiedział pokazując małe czarne pudełko z szeregiem kontrolnych przycisków, przypominające Jo skomplikowane radio tranzystorowe.

— Jakiś rodzaj urządzenia sygnalizacyjnego? — zasugerował brygadier.

Doktor potrząsnął głową.

— Prawdę mówiąc, brygadierze, moim zdaniem jest to raczej rodzaj prymitywnego wehikułu czasu.

Rozległo się monotonne zawrodo syreny i ujrzeli zbliżający się ambulans, który zatrzymał się po chwili przy drodze. Ze środka wyskoczyli dwaj sanitariusze z noszami.

— Odprowadźcie go do ambulansu, sierżancie — powiedział brygadier. — I odwieźcie razem z kilkoma ludźmi do kliniki. Chcę, żebyście go bez przerwy pilnowali.

Benton zaszalutował i dał znak pielęgniarzom, którzy podbiegli do rannego partyzanta. Kiedy kładli go na nosze, zaczął jęczeć i mamrotać.

— Myśli pan, że uda się go uratować, Doktorze? — zapytała Jo.

Doktor wciąż był zaabsorbowany dziwnym czarnym pudełkiem.

— Chyba tak — odparł roztargniony.

— Kiedy tylko odzyska przytomność — oświadczył ponurym tonem brygadier — będzie musiał odpowiedzieć na kilka pytań.

Doktor podniósł wzrok.

— Bez wątpienia — stwierdził. — Tymczasem zaś odna leżliśmy dwie bardzo interesujące wskazówki. Pistolet i to urządzenie. Wracajmy szybko do laboratorium, Jo. Wydaje mi się, że powinienem przeprowadzić parę eksperymentów...

Gabinet Kontrolera Sektora Pierwszego Ziemi nie był ani przyjemny, ani wygodny: gołe metalowe ściany i podłoga oraz proste funkcjonalne biurko. Ale dla samego Kontrolera stanowił świadectwo jego władzy i rangi. Niewielu ludzi miało do dyspozycji tyle przestrzeni i luksusów. Ostatecznie jednak, podpowiadał sam sobie, był najwyższym władcą tej części Ziemi, która kiedyś znana była pod nazwą Anglii. Najwyższym oczywiście po Dalekach...

Kontroler zmierzył chłodnym wzrokiem stojącego przed nim Ogrona. Kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała wymówka.

— Nie wykonaliście zleconego wam zadania.

Ogron potrząsnął energicznie głową.

— Nie, Kontrolerze, wykonaliśmy zadanie. Odnaleźliśmy wroga i zabiliśmy go. — Jego ochryply gardłowy głos drżał lekko, kiedy odpowiadał. Opanowanie ludzkiej mowy sprawiało Ogronom dużą trudność i ich słownik był bardzo ubogi.

— Polecono wam złapać go żywcem. Miał zostać przesłuchany.

— Nadeszli ludzcy żołnierze. Musieliśmy powrócić do naszej strefy czasowej.

Kontroler zastanawiał się, czy Ogron mówi prawdę. Te stworzenia cechowało tak wielkie okrucieństwo, że czasem trudno było je nakłonić, aby brały jeńców. Instynkt kazał im zabijać każdego, kto dostał się w ich ręce.

— Czy jesteście przynajmniej pewni, że buntownik został zabity? Jeśli tli się w nim jeszcze iskra życia, ludzie z dwudziestu tego wieku mogą go uwięzić i dowiedzieć się prawdy.

W małych czerwonych oczkach Ogrona zapaliły się iskielki strachu.

— Wróg jest martwy. Zabiliśmy go.

Kontroler wstał zza biurka.

— Chcę, żeby wasze patrole zwiększyły czujność. Zbrodni czy buntownicy powinni zostać wytropieni i zniszczeni! Jeżeli się to nie uda, Dalekowie będą niezadowoleni. Ukażą was. Możesz odejść!

Ogron ciężko człapiąc wyszedł z gabinetu. Kontroler westchnął. Od wielu już lat buntownicy — lub jak nazywali siebie sami, partyzanci — opierali się władzy Daleków. Zawsze była ich żalosna garstka. A jednak, w jakiś sposób ta garstka wydawała się nieśmiertelna. Kiedy zlikwidowano jedną grupkę bojowników, na jej miejscu natychmiast pojawiała się następna. Ze swoimi mizernymi zasobami, podziemnymi kryjówkami i skleconą domowym sposobem bronią trwali dalej, mimo wymierzonej przeciwko nim potężnej technologii Daleków. Buntownicy nie mogli, naturalnie, nigdy zwyciężyć. Wydawało się jednak również, że nigdy nie poniosą ostatecznej klęski. Wbrew własnej woli Kontroler prawie podziwiał swoich ziomków. Nie mieli oczywiście racji, beznadziejnie się mylili, ale dawali dowody wielkiej odwagi, a także wielkiej wytrwałości i sprytu w obliczu przeważających sił przeciwnika. Widząc te

cechy, łatwo było zrozumieć, dlaczego rasa ludzka doszła kiedyś do takiej wielkości.

Kontroler ponownie westchnął. W ostatecznym rachunku cały ten wysiłek pójdzie na marne. Buntownicy ulegną w końcu w nierównej walce. Podzielią los wszystkich, którzy sprzeciwili się Dalekom. Zostaną zlikwidowani.

Trudno mu było skoncentrować się z powrotem na swoich obowiązkach. Produkcja obozu pracy numer trzy spadła poniżej normy. Jeżeli nie nadrobią opóźnień, Dalekowie będą niezadowoleni. Kontroler zaczął dokładnie studiować leżące na biurku raporty.

Wchodząc do laboratorium, brygadier zobaczył ze zdumieniem asystentkę Doktora, która wlokła po podłodze duży wypchany manekin. Jo Grant posadziła kukłę na krześle w drugim końcu sali, po czym dała krok do tyłu i z satysfakcją przyjrzała się swemu dziełu.

— Trochę za wcześnie na noc Guya Fawkesa — zauważył brygadier.

Jo odwróciła się na dźwięk jego głosu.

— Zamówił go Doktor. Niech pan mnie nie pyta, w jakim celu. Jak się czuje ten biedak, którego znaleźliście?

Brygadier wzruszył ramionami.

— Benton jest z nim teraz w klinice. Facet nadal nie odzyskał przytomności, ale niedługo powinien się ocknąć.

Z policyjnej budki wyszedł Doktor, trzymając w jednej ręce pistolet partyzanta, a w drugiej czarne pudełko.

— Będziemy więc musieli jeszcze trochę poczekać, prawda? — oświadczył z werwą. Jo spostrzegła, że Doktora najwyraźniej raduje możliwość zmierzenia się z nowym proble-



mem. Cieszyła się, że znalazł wreszcie coś, co odsunęło jego uwagę od nie kończących się i zdecydowanie beznadziejnych prób ponownego uruchomienia TARDIS.

— Wspaniale, Jo. Dokładnie to, czego potrzebowałem. Zupełnie jak żywy, prawda, brygadierze?

Oficer przyjrzał się bez zbytniego entuzjazmu manekinowi.

— Tak, bardzo przyjemny. Mogę zapytać, do czego ma służyć?

— Pomyślałem, że może spodoba się panu mały praktyczny pokaz. Proszę, zbliżcie się tutaj — powiedział Doktor pokazując, żeby podeszli do drzwi. Kukła siedziała groteskowo przekrzywiona na krześle po drugiej stronie laboratorium. Jo sporządziła ją ze starych, wypchanych gazetami wojskowych drelichów. Na poszewce poduszki wymalowała szminką uśmiechniętą od ucha do ucha twarz.

— Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli staniecie za moimi plecami — oświadczył Doktor. — Na wszelki wypadek. — Podniósł pistolet partyzanta i wycelował go w manekin.

— Chwileczkę, Doktorze — odezwał się szybko brygadier. — Na wypadek konkretnie czego?

Doktor obejrzał się przez ramię.

— Na wypadek, jeśli źle nastawiłem parametry, oczywiście. Możemy wtedy stracić całą ścianę.

Brygadier nie posiadał się z oburzenia.

— Niech pan zaczeka. Ten budynek należy do rządu...

Ale było już za późno. Doktor ustawił dokładnie lufę i pociągnął za cyngiel. Rozległo się wysokie elektroniczne bzyczenie. Krzesło wraz z siedzącym na nim manekinem po prostu się zdematerializowało. Doktor pokiwał z satysfakcją głową.

Brygadier ruszył powoli w drugi kąt. Po krześle ani manekinie nie zostało absolutnie żadnego śladu. Oficer spojrzął na trzymany przez Doktora pistolet.

— Co to jest, do diabła? — zapytał.

Doktor położył broń na laboratoryjnym stoliku.

— Całkiem skuteczny pistolecik, nieprawdaż?

Brygadier zachmurzył się.

— Według Bentona te podobne do małą stworzenia były uzbrojone dokładnie w taką samą broń. Stracił jednego ze swoich ludzi. Nie zostało po nim najmniejszego śladu.

W głosie oficera brzmiał gniew. Jo wiedziała, jak bardzo brygadier dba o bezpieczeństwo pozostających pod jego rozkazami ludzi. Strata choćby jednego żołnierza była dla niego poważnym ciosem.

Podniosła ostrożnie obcą broń, która wyglądała jak skrzyżowanie pistoletu i rusznicy; dziewczyna musiała użyć obu rąk, żeby ją unieść.

— Co to jest dokładnie, Doktorze? — zapytała. — To znaczy, na jakiej zasadzie działa?

— W skrócie mówiąc, coś w rodzaju ultrasonicznego dez-integratora.

Jo próbowała przetłumaczyć tę odpowiedź na coś, co była w stanie zrozumieć.

— Ma pan na myśli miotacz promieni?

Doktor wziął głęboki oddech.

— Tak... to znaczy coś w tym rodzaju, Jo. Dowcip polega na tym, że to bardzo zaawansowana broń. O wiele bardziej nowoczesna niż cokolwiek, co wyprodukowano do tej pory na Ziemi. Może lepiej nie celuj z niej w ten sposób...

Jo zdała sobie sprawę, że kieruje lufę prosto w brygadiera.

Pośpiesznie odłożyła broń z powrotem na stół.

— Powiedział pan, że nie wyprodukowano jej na Ziemi? — zapytał Lethbridge-Stewart. — Ma pan na myśli, że pochodzi z innej planety?

Doktor potrząsnął głową.

— Przed chwilą skończyłem analizę metalurgiczną; dowiodła ona ponad wszelką wątpliwość, że metal, z którego skonstruowano ten miotacz, został wydobyty tu, na Ziemi.

Jo była skonsternowana.

— Ale mówił pan przecież, że nie wyprodukowano go na Ziemi.

— Nie w obecnym czasie, Jo.

— Może przestanie pan mówić zagadkami — zirytował się brygadier.

Doktor podszedł do stolika i wziął do ręki czarne pudełko.

— Wierzy pan w duchy, brygadierze? — zapytał.

— Skończmy z tymi żartami.

— Zapewniam pana, że mówię serio. Może użyłem tylko złego słowa. To nie tyle duchy co zjawy, które pojawiają się i znikają — oświadczył Doktor, obracając na wszystkie strony pudełko. — Na ogół myślimy, że duchy pochodzą z przeszłości. Ale co powiecie na duchy z przyszłości? — zapytał, przyglądając się z uśmiechem zakłopotanym minom Jo i brygadiera.

— Mówił pan, że ta rzecz stanowi coś w rodzaju wehikułu czasu... — powiedziała powoli Jo.

35

Doktor zaczął wciskać umieszczone w pudełku różne guziki.

— Zgadza się — przytaknął. — Wydaje mi się jednak, że musiało ulec zniszczeniu, kiedy ten człowiek upadł. Nie bardzo widzę, w jaki sposób mógłbym je uruchomić...

Jeszcze zanim Doktor skończył zdanie, urządzenie najwyraź-

niej zaczęło działać. Rozległo się niskie buczenie. Powietrze dookoła zaczęło dziwnie migotać.

— Wielkie nieba, to działa! Cofnijcie się! Do tyłu! — krzyknął Doktor, gorączkowo manipulując przyciskami.

W mieszczącej się w pobliżu klinice sierżant Benton siedział obok łóżka nieprzytomnego pacjenta. Odziany teraz w szpitalną piżamę partyzant rzucał się i mamrotał w pościeli, budząc się i zapadając w coś w rodzaju śpiączki. Przed chwilą krzyczał jeszcze ze strachu, teraz z powrotem stracił przytomność i był względnie spokojny. Ukojony panującą w małej izolatce ciszą, Benton opuścił głowę na pierś. Nagle gwałtownie się ocknął. Coś zaczęło dziwnie migotać. Benton wlepił zdumiony wzrok w partyzanta, który dosłownie rozpływał się w powietrzu. Po chwili migotanie ustało; łóżko było kompletnie puste. Sierżant ściągnął kołdrę i zaczął zaglądać pod poduszki, jakby spodziewał się tam znaleźć pacjenta. Po chwili się opanował. Gość zniknął i nie można było na to nic poradzić. Z westchnieniem uświadomił sobie, że będzie musiał spróbować wyjaśnić to brygadierowi...

Kontroler Sektora Pierwszego Ziemi stał w Sali Nasłuchu Temporalnego. Ze wszystkich stron otaczała go dziwna i tajemnicza aparatura, dzięki której Dalekowie bezustannie obserwowali Wir Czasu, ową dziwną zagadkową próżnię, gdzie łączyły się ze sobą Czas i Przestrzeń. Po sali przesuwały się bezszelestnie sprawujące dozór techniczny młode kobiety. Kontroler nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest w nich coś dziwnego i nieludzkiego.

— Dlaczego mnie wezwwałaś? — zwrócił się do stojącej obok

niego dziewczyny.

Wskazała słabo migoczący punkt na jednym z ekranów.

— W strefie czasowej dwudziestego wieku działa w tej chwili transmitter czasu.

Kontroler poczuł, jak ogarnia go nagłe podniecenie. To mogło oznaczać tylko kolejną akcję ruchu oporu.

— Czy możesz ustalić koordynaty czasoprzestrzenne? — zapytał.

— Spróbuję — odparła chłodnym głosem dziewczyna. — Sygnał jest bardzo słaby.

Jej palce szybko przebiegły po umieszczonych na konsoli przyciskach. Puls zamigotał i zgasł.

— To nic nie da, Kontrolerze. Transmisja się zakończyła. Wydaje mi się, że doszło do przemieszczenia, ale nie sposób powiedzieć tego na pewno. — Jej głos był matowy i pozbawiony emocji. Stwierdziła po prostu fakt.

Obojętność dziewczyny powiększyła tylko gniew i rozczarowanie Kontrolera.

— Prowadź dalej nasłuch — powiedział ostro. — Iw przyszłości postaraj się być bardziej skuteczna, w przeciwnym razie źle się to dla ciebie skończy.

Na dziewczynie nie wywarło to żadnego wrażenia.

— Zrobiłam wszystko, co można było zrobić — odparła tym samym pozbawionym emocji głosem. — Będziemy kontynuować nasłuch. Jeśli będą miały miejsce następne transmisje, zostanie pan poinformowany — dodała, po czym odwróciła się do niego plecami i wróciła do swoich obowiązków.

Kontroler posłał jej wściekłe spojrzenie. A potem, godząc się z klęską, westchnął i wyszedł z sali.

W laboratorium UNIT Doktor odłożył z ulgą czarne pudełko.

— W porządku — powiedział. — Przestało działać.

— Ale przed chwilą jeszcze działało — oświadczyła zaniepokojona Jo.

Doktor westchnął.

— Niestety, stało się to zupełnie przypadkowo. Nadal nie wiem, jak się je uruchamia.

Zadzwoił telefon; słuchawkę podniósł brygadier.

— Tak? W porządku, Benton, co się stało? — Nagle jego głos zmienił się w zduszony skowyt. — Co takiego? Co takiego zrobił, Benton? — Słuchał jeszcze przez chwilę, a potem powiedział: — W porządku, sierżancie, wierzę panu. Tak, prze każę mu.

Oficer z wyraźnym wysiłkiem odłożył delikatnie słuchawkę na widełki.

— To był Benton, z kliniki. Może zainteresuje pana, Doktorze, że dokładnie w tej samej chwili, kiedy zaczął pan manipulować przy tym przeklętym urządzeniu, nasz przyjaciel partyzant zamigotał i rozpułynał się w powietrzu... po prostu zdematerializował się i zniknął ze szpitalnego łóżka.

— To bardzo interesujące — stwierdził Doktor. — Co więcej, świadczy o tym, że miałem rację. Ten przedmiot jest z całą pewnością transponderem czasowym. W jakiś sposób udało mi się wysłać tego biedaka z powrotem tam, skąd przybył.

Brygadier posłał mu zniecierpliwione spojrzenie.

— Cieszę się, że uznał pan to za coś interesującego, Doktorze... ale specjalnie nam pan tym nie pomógł. Kiedy ten facet przepadł, przepadły także wszelkie szanse odkrycia, o co w tym wszystkim chodzi.

— Nie bądź takim pesymistą, mój stary. Ta sprawa jeszcze

się nie zakończyła.

— Czyżby? — zapytał ponuro brygadier.

— Bardzo w to wątpię. Nie wydaje mi się, żeby ci, którzy za tym stoją, osiągnęli już swoje cele. Będą więc musieli spróbować ponownie.

— Spróbować czego?

— Nie jestem pewien czego, brygadierze, ale wydaje mi się, że wiem gdzie.

— To już coś — oświadczył oficer.

— Wszystkie dotychczasowe wydarzenia — podjął Doktor — mają miejsce w pobliżu Austerly House. I ten, kto starał się zabić Stylesa, z pewnością spróbuje to zrobić ponownie.

— Ale sir Reginalda przecież tam nie ma. W tej chwili znajduje się pewnie w Pekinie.

— Zgadza się. Dom będzie więc pusty. Co ty na to, Jo? — zapytał Doktor, zwracając się do wpatrującej się w niego ze zdumieniem asystentki.

— Na co?

Doktor uśmiechnął się.

— Masz ochotę spędzić noc w domu nawiedzanym przez duchy?





I znowu wiatr gwizdał ponuro w gałęziach drzew rosnących wokół Austerly House. Znowu nerwowy wartownik podskoczył na dźwięk hukania sowy. Znowu w całym domu światło paliło się tylko w jednym pokoju: w gabinecie sir Reginalda Stylesa.

W samym gabinecie zaszły jednak poważne zmiany. Zamiast ślęczącego nad papierami sir Reginalda można było dostrzec elegancką sylwetkę Doktora, który rozsiadł się wygodnie w fotelu nie opodal płonącego kominka. Na małym stoliku stała ciężka srebrna taca, a na niej talerzyki, kieliszki, noże, mały koszyczek z biskwitami, butelka wina i bardzo duży kawałek sera stilton. Obok tacy leżało na stole małe czarne pudełko.

Doktor podniósł wzrok i spojrzał na stojącą obok fotela Jo Grant.

— Pamiętaj, Jo — powiedział zamyślony, częstując się dużym plasterkiem sera — u polityków jedna rzecz jest pewna, niezależnie od wyznawanych przez nich idei, mają zawsze dobrze zaopatrzoną spiżarnię.

Jo spojrzała z dezaprobatą na wyładowaną tacę.

— Nie jestem pewna, czy naprawdę wypada panu tak się objadać — powiedziała z powątpiewaniem.

— Nonsens, Jo. Słyszałaś, co powiedziała panna Paget? Mamy czuć się tutaj jak u siebie w domu — stwierdził Doktor, biorąc do ust następny plasterzek sera, żeby podkreślić wagę wypowiedzianych słów.

Jo rozejrzała się trwożliwie dookoła. Chociaż w rozjaśnio-

nym ogniem z kominka gabinecie było ciepło i przytulnie, zdawała sobie sprawę, że reszta domu jest pogrążona w mroku i pusta. A na dworze jest ciemna noc i z lasu dochodzą dziwne odgłosy. Domu pilnowali oczywiście kapitan Yates, sierżant Benton i uzbrojone patrole UNIT. To jednak wcale nie pomogło Stylesowi, kiedy został zaatakowany. Przeszedł ją dreszcz.

— Żałuję, że odesłał pan wszystkich służących — powie działa.

Doktor nalał sobie kieliszek burgunda i podniósł go w górę, żeby przyjrzeć się wspaniałemu czerwonemu kolorowi wina.

— Trzeba to było zrobić. Jak możesz się spodziewać du chów, kiedy w domu roi się od ludzi?

Jo zadrżała ponownie i Doktor przestał jej dokuczać.

— Zrozum, naprawdę nie ma się czego obawiać. Poczęstuj się tym wybornym serem.

— Nie, dziękuję, Doktorze. Chyba nie jestem teraz głodna — odparła, siadając na poręczu fotela.

— Naprawdę powinnaś coś zjeść — oświadczył niewyraźnie Doktor, przeżuując kawałek sera. — To może być długa noc.

— Wiem — powiedziała. — To właśnie mnie martwi.

Na dworze nadal zawodził wiatr i zaczęło padać. Kapitan Yates stał na ganku, obserwując szarpane podmuchami korony drzew. Zza rogu budynku wyszedł szybkim krokiem sierżant Benton i przystanął obok kapitana. Na wojskowym nieprzemakalnym płaszczu było widać krople deszczu.

— Wszędzie spokojnie, Benton?

— Tak jest, panie kapitanie, spokojnie jak w grobie — odparł sierżant żałując, że nie udało mu się znaleźć bardziej pogod-

nego porównania.

— Ruszajcie dalej.

Benton zaszalutował i zniknął w ciemności.

Całą posiadłość przemierzały bez przerwy małe patrole uzbrojonych żołnierzy, wymieniających między sobą uzgodnione wcześniej sygnały i hasła.

W nieczynnym tunelu nie było żadnych wartowników. Znajdował się daleko od domu i brygadierowi nie przyszło do głowy, żeby go pilnować.

W panujących w środku ciemnościach zamigotało nagle słabe światło i na torach zmaterializowały się jedna po drugiej trzy postaci. Pierwsza pojawiła się Anat, przywódczyni oddziału, który odwiedził Moni, narażając się na tyle niebezpieczeństw. Potem Boaz, z zaciętą i pełną determinacji twarzą, i na koniec młody i gorliwy, drżący z podniecenia Shura. Cała trójka była obładowana sprzętem.

Kiedy zmaterializowali się wszyscy troje, Anat wyciągnęła małą baterię i oświetliła nią ceglana ścianę tunelu.

— Udało nam się, Anat — stwierdził z triumfem Boaz. — Udało nam się!

Zaczęli szybko rozładowywać cięższy sprzęt. Shura znalazł miejsce, gdzie można go było ukryć — małe zagłębienie w ścianie tunelu. Zamaskował wszystko kawałkami gruzu i podniósł z radością wzrok.

— Jesteśmy tam, gdzie mieliśmy dotrzeć — powiedział.

Anat była bardziej powściągliwa.

— Miejsce wygląda tak, jak powinno. Ale najmniejszy błąd w wyznaczeniu parametrów czasowych mógł sprawić, że przybyliśmy za wcześnie albo za późno.

— Nie ma takiej możliwości — stwierdził Shura. — Tym ra-

zem nam się uda.

— Musi nam się udać — stwierdziła z powagą Anat. — Teraz posłuchajcie mnie obaj. Pamiętajcie, co powiedział Moni przed naszym odejściem. Stanowimy ostatnią szansę. Dwaj inni próbowali przed nami i nie udało im się. Dalekowie są coraz bliżej i potrafią zlokalizować nasze transmitery. Jeżeli nie wykonamy zadania, nie wiadomo, czy w ogóle uda nam się wrócić do naszej strefy czasowej. Stracimy poza tym raz na zawsze szansę pokonania Daleków.

— Nie zawiedziemy, Anat — oświadczył Boaz.

— Nie wolno nam — dodał z entuzjazmem Shura.

— Teraz udamy się w stronę domu — powiedziała Anat. — Nauczyciście się na pamięć treści starych historycznych map? — Boaz i Shura pokiwali głowami. — Pamiętajcie, że na zewnątrz tunelu wszystko będzie wyglądało inaczej. Zobaczycie pola, drogi i domy, w których mieszkają ludzie. Świat, w jakim powinniśmy żyć i my. Świat, który wciąż możemy odzyskać, jeśli odniesiemy sukces. Jesteście gotowi? — Dwaj partyzanci ponownie kiwnęli głowami. — W takim razie ruszajmy. Po drodze możemy się natknąć na wojskowe patrole, ale będziemy starali się je ominąć.

— Jeśli spróbują nas zatrzymać, damy im posmakować tego — oświadczył z ogniem w oku Boaz, dotykając tkwiącego w kaburze miotacza.

<sup>40</sup> Nie zapominaj — przerwała mu Anat — że oni nie są naszymi wrogami. Mamy tylko jednego wroga. Człowieka, którego przyszliliśmy zabić.

Troje partyzantów szybko i bezszelestnie wyszło z tunelu i ruszyło polami w stronę Austerly House.

Doktor pociągnął z przyjemnością kolejny łyk burgunda.

— To wino ma znakomity nastrój — stwierdził. — Być może trochę kpiący, ale nie cyniczny. Naprawdę cywilizowane wino; przypadło mi do serca.

Jo posłała mu zniecierpliwione spojrzenie.

— Niech pan się przestanie popisywać, Doktorze — powiedziała, po czym wstała z krzesła i ruszyła ku drzwiom. — Idę do kuchni zrobić sobie filiżankę herbaty.

Hol był pusty i ciemny. Przy schodach stały zbroje, a ze ściany wpatrywał się w nią szklistym wzrokiem wypchany łeb jelenia. W mroku wszystko wydawało się tajemnicze i złowrogie.

Jo ruszyła w stronę kuchni, kiedy nagle zaskrzypiały masywne frontowe drzwi. Próbowwała zawołać Doktora, ale głos uwiązł jej w gardle. Przerażona przykucnęła za ścianą. Drzwi otworzyły się i w holu zamajaczyła olbrzymia postać. Z westchnieniem ulgi Jo uświadomiła sobie, że stoi przed nią sierżant Benton.

Troje partyzantów dotarło do wysokiego muru otaczającego posiadłość. Wyszkoleni w pokonywaniu różnych przeszkód, wdrapali się nań, zeskoczyli w dół i natychmiast skryli się w zaroślach. Ciemne stroje znakomicie maskowały ich w mroku. Patrolujący teren żołnierze UNIT minęli ich zaledwie o kilkanaście centymetrów. Kiedy oddalili się, partyzanci wstali i zaczęli powoli zbliżać się do domu. Poruszali się w całkowitej ciszy — zupełnie jak duchy.

— Sierżancie Benton! — oświadczyła z wymówką Jo. — Przestraszył mnie pan śmiertelnie, skradając się w ten sposób!

— Nie chciałem przeszkadzać Doktorowi. Czym się teraz

zajmuje?

— Niczym szczególnym. Dłubie w tym czarnym pudełku, które pan odnalazł, albo zachowuje się tak, jakby zaproszono go na jednoosobową ucztę: objada się serem i pije wino.

Na wzmiankę o jedzeniu i picciu Benton wyraźnie się ożywił. Był wielkim facetem i potrzebował dużo paliwa, żeby właściwie funkcjonować.

— Nie mogłaby pani przynieść mi małego kawałka, panno Grant? — zapytał, pochylając się konfidencjonalnie. — Jestem głodny jak wilk — dodał, starając się, jak mógł, sprawić wrażenie niedożywionego.

— Niech pan tutaj zaczeka — powiedziała Jo i weszła z powrotem do gabinetu. Doktor ukroił sobie tymczasem kolejny kawałek sera i nalał kolejny kieliszek wina. Przyglądał im się z rozrzewnieniem, kiedy panna Grant zabrała mu nagle z ręki talerzyk i kieliszek.

— Jo! — zaprotestował głośno.

— Robię to w dobrej sprawie.

Doktor popatrzył, jak jego asystentka znika za drzwiami, a potem westchnął i sięgnął po nóż do sera.

— Ocaliła mi pani życie — oświadczył rozpromieniony Benton, kiedy Jo postawiła na stoliku w holu talerzyk i kieliszek. Właśnie po nie sięgał, kiedy z tyłu rozległ się znajomy głos.

— Co pan tutaj robi, sierżancie Benton?

W drzwiach stał kapitan Yates.

Benton wyprężył się na baczność i zasalutował.

— Sprawdziałem właśnie, czy wszystko w porządku, panie kapitanie.

— Rozumiem. Więc może będzie pan tak dobry i sprawdzi patrol numer dwa?



— Tak jest, panie kapitanie — odparł sierżant i omiatając żalostnym spojrzeniem stolik zniknął za drzwiami.

Mike Yates udał, że dopiero teraz zauważył talerzyk i kieliszek.

— Ach, Jo, jak to miło z twojej strony — oświadczył, po czym wychylił szybko wino i wepchnął do ust kawałek sera.

Panna Grant posłała mu surowe spojrzenie.

— To nie było zbyt ładne, Mike.

— R.M.S.P. — odparł niewyraźnie Yates, z ustami pełnymi sera.

Jo spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi.

— Co takiego? — zapytała.

— R.M.S.P. — powtórzył. — Ranga ma swoje przywileje.

Posłał jej szeroki uśmiech i w ślad za Bentonem zniknął za drzwiami. Jo wróciła do gabinetu.

— Co to wszystko miało znaczyć? — zapytał Doktor, podnosząc wzrok na dziewczynę.

— Nic takiego. Karmiłam wojsko.

Doktor skinął z aprobatą głową.

— Bardzo słusznie. Pamiętam, jak powtarzałem to zawsze Napoleonowi. Słuchaj, Boney, mówiłem, nigdy nie zapominaj o jednym: armia maszeruje tylko z pełnymi brzuchami.

Jo prychnęła gniewnie.

— Mike Yates z pewnością o tym nie zapomni — po wiedziała, a potem słysząc, jak wiatr stuka okiennicami, rozejrzała się nerwowo. — Czy mówił pan serio, Doktorze, wspominając w rozmowie z brygadierem o duchach? — zapytała.

Doktor uśmiechnął się.

— Powiedziałem wtedy również, że są różne rodzaje du-

chów.

— Nie zrobiłam sobie w końcu tej herbaty! — stwierdziła po chwili milczenia Jo. Wstała i ponownie wyszła do kuchni.

Doktor wziął do ręki czarne pudełko i zaczął je po raz setny z rzędu badać, obracając niespokojnie w swoich długich palcach. Odsunął w końcu tylną klapkę i przyjrzał się obcej płataninie obwodów.

— Zupełny chaos — mruknął pod nosem. — Nie powinno działać, a jednak działa. Albo działało. Gdzieś w okolicy musi być urządzenie wspomagające, z którego czerpie moc — stwierdził i mamrocząc do siebie pochylił się nad małym pudełkiem.

Na znak dany przez Anat troje partyzantów wyskoczyło z krzaków. Wiedzieli, że największe niebezpieczeństwo grozi im, kiedy znajdą się na otwartym terenie przy samym domu. Nagle zza rogu budynku wyszło dwóch żołnierzy. Przez ułamek sekundy wpatrywali się w majaczące przed nimi postaci.

— Stój, kto idzie? — zawołał jeden z nich. — Podajcie hasło.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, wartownicy podnieśli broń. Jednak Boaz i Shura zdążyli wcześniej otworzyć ogień. Rozległo się głośne elektroniczne bzyczenie i patrol UNIT zupełnie się zdematerializował.

Anat posłała swoim towarzyszom bolesne spojrzenie. Wiedziała jednak, że nie mieli innego wyjścia. Misja musiała zakończyć się sukcesem nawet za cenę życia niewinnych ludzi. Dała szybki sygnał ręką i Shura ruszył ku oszklonym drzwiom gabinetu. Anat i Boaz zawrócili w stronę ganku.

W gabinecie Doktor ostatecznie zrezygnował z prób uru-

chomienia transmitera. Zniechęcony uderzył nim o stół. Pudełko natychmiast zaczęło emitować niskie buczenie pojawiła się wokół niego wirująca, migocząca aureola.

Doktor przyglądał się jej ze zdumieniem.

— Hej, Jo — zawołał. — Znowu to uruchomiłem. Chodź, zobacz. Gdzie jesteś, Jo?

Panna Grant usłyszała w kuchni wołanie Doktora. Nie zrozumiała dokładnie, o co mu chodzi, ale to mogło być coś ważnego. Zostawiła na stole filiżankę i pośpieszyła z powrotem do gabinetu.

Shura zajrzał przez szparę między zasłonami do środka gabinetu. Ku swemu zdumieniu zobaczył leżący na stole transponder czasu. Transponder, który działał! Ściągał im na głowę Daleków i pozostających na ich usługach Ogronów!

Kopnął obutą stopą zamek oszklonych drzwi i w ulewie szkła skoczył do środka.

Stojący w drugim końcu gabinetu wysoki mężczyzna odwrócił się z nadzwyczajną szybkością w jego stronę.

Shura zapomniał na chwilę, że przybył tu, aby go zabić. Całą jego uwagę zajmował teraz działający transponder. Musiał wyłączyć go, zanim Dalekowie przechwycą sygnał. Nie zdążył się jeszcze odezwać, gdy noga mężczyzny zatoczyła szeroki łuk i wytrąciła mu z dłoni miotacz. Shura skoczył rozpaczliwie w stronę transpondera, ale wysoki mężczyzna ~~użył~~ użył to najwyraźniej za atak. Zrobił unik, a potem wyciągnął błyskawicznie obie ręce i Shura znalazł się w uścisku jego stalowych długich palców. Mężczyzna obrócił nim w powietrzu i cisnął o ścianę. Shura osunął się na pół zamroczony na podłogę. W jego głowie kołatała tylko jedna myśl. Mężczyzna musi wyłączyć wciąż

pulsujący transponder czasu.

W Sali Nasłuchu Temporalnego Kontroler Pierwszego Sektora Ziemi wpatrywał się niecierpliwie w ekran monitora. Pulsowanie było bardzo niewyraźne.

— Tym razem musisz ustalić koordynaty — powiedział, zwracając się do stojącej obok dziewczyny.

— Postaramy się to zrobić, Kontrolerze.

Nagle odsunęła się ściana w drugim końcu pomieszczenia i w ich stronę ruszyła przysadzista czarna metaliczna postać. Osadzone na słupku oko obróciło się ku Kontrolerowi.

— Co się dzieje? Złóż raport! — zazgrzytał szorstki metaliczny głos.

— Udało nam się zlokalizować transponder czasu, działający w dwudziestym wieku. Ustalamy teraz koordynaty. — Kontroler posłał szybkie spojrzenie stojącej obok niego z kamienną miną dziewczynie, modląc się, aby to, co mówił, okazało się prawdą. — Patrol Ogronów jest w stanie pełnej gotowości.

Czarny Dalek obrócił się, wlepiając oko w słaby sygnał na ekranie.

— Ktokolwiek posługuje się tym transponderem — zazgrzytał — jest wrogiem Daleków. Musi zostać zlikwidowany! — Kolejny raz jego głos podniósł się do krzyku. — Zlikwidowany! Zlikwidowany! Zlikwidowany!

46

W gabinecie sir Reginalda Stylesa Shura próbował rozpaczliwie podnieść się na nogi.

— Proszę, wyłącz to! Musisz to wyłączyć, w przeciwnym razie wszystkich nas pozabijają! — wycharczał, wskazując ręką pulsujący transponder.

Wysoki mężczyzna pomógł mu wstać i cisnął go na fotel.

— Mówiąc szczerze, nie wydaje mi się, że potrafię to zrobić — powiedział. — Nie bardzo nawet wiem, jakim cudem udało mi się to uruchomić. A teraz, przyjacielu, chciałbym zadać ci kilka pytań.

— Odsuń się od niego! — odezwał się od drzwi dziewczęcy głos.

Doktor odwrócił się od swego więźnia i zobaczył szczupłą, ciemną dziewczynę w partyzanckim stroju, a obok niej kolejnego partyzanta, który trzymał przed sobą Jo Grant, mierząc w jej głowę z pistoletu. Posłusznie odsunął się na bok. Dziewczyna podeszła prosto do transmitera i po dokonaniu kilku skomplikowanych operacji zdołała go wyłączyć.

W Sali Nasłuchu Temporalnego serce uciekło Kontrolerowi w pięty, kiedy zobaczył pusty ekran. Odwrócił się do dziewczyny z obsługi technicznej, mając nadzieję, że mimo wszystko udało jej się ustalić koordynaty.

Jej niewzruszony zwykle głos zadrżał tym razem ze strachu.

— Przykro mi. Zgubiliśmy sygnał.

Czarny Dalek obrócił się z wściekłością w jej stronę. A potem z powrotem ku Kontrolerowi. Broń Daleka była wymierzona prosto w niego. Kontroler wiedział, że za chwilę może przenieść się w niebyt. Dalekowie nie mieli litości dla tych, którzy sprawili im zawód. Stał zupełnie nieruchomo, wstrzymując oddech i próbując w ogóle nie myśleć. Przez dłuższy czas trwała straszliwa cisza. A potem Czarny Dalek odwrócił się i opuścił salę.



## 5

### *Skazany na śmierć!*

Partyzanci przyglądali się z ponurą satysfakcją swoim więźniom.

Jo stała bez ruchu, wciąż trzymana mocno przez Boaza, który dopadł ją w holu. Doktor oparł się o kominiek i rozglądał po pokoju. Wydawał się wyjątkowo spokojny i zrelaksowany, ale Jo widziała, że w jego oczach palą się jasne iskierki i że gotów jest do natychmiastowej akcji.

— Myślę, że możesz puścić tę młodą damę — oświadczył łagodnie Doktor, zwracając się do Boaza. — Nie powinna zrobić ci wielkiej krzywdy.

Boazowi zrobiło się nagle głupio: osoba, którą trzymał na muszce była prawie dzieckiem. Puścił ją. Panna Grant rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i podeszła do Doktora.

Kompletnie ignorując Jo, Anat zbliżyła się z miotaczem w ręku do Doktora i spojrzała mu prosto w twarz.

— A więc to pan jest tym człowiekiem — stwierdziła. — Sprawiającym tak niewinne wrażenie, a jednak zdolnym do tak potwornych zbrodni. Kto mógłby się tego spodziewać?

Doktor popatrzył na nią ze zdziwieniem.

— Przykro mi, panienko, ale nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pani mówi — oznajmił.

— Cisza! — przerwała mu Anat. — Dostyc się już pan naga-  
dał. Nadszedł czas na egzekucję.

Jo spojrzała przerażona. Dlaczego chcą zabić Doktora? Czuła, że dziewczyna chce wprowadzić się w stan nerwowego pod-

niecienia, ponieważ nie potrafi z zimną krwią pozbawić kogoś życia.



Ta sama myśl przyszła do głowy Doktorowi. Dziewczyna nie była urodzoną morderczynią, jednak w pewnych szczególnych okolicznościach potrafiła zabić.

— Egzekucję? Czy nie zasługuję nawet na proces? — zapytał, starając się umyślnie uspokoić sytuację.

— Wykonujemy tylko rozkazy — odparła Anat.

— Nie wątpię. Ale kto je wydał?

— To nie powinno pana obchodzić. — Anat dała krok do tyłu. — Boaz! Shura!

Wszyscy troje wycelowali miotacze w Doktora. Zdesperowana Jo zasłoniła go własną pierś.

— Proszę, nie zabijajcie go! Nigdy nie zrobił nikomu nic złego!

Doktor wziął delikatnie Jo za ramiona i odsunął ją na bok.

— Czy mogę powiedzieć kilka słów, panienko? — zapytał, zupełnie nie zrażony wycelowanymi w niego trzema lufami.

— Chce pan wyrazić skruchę w obliczu śmierci? — zapytała Anat.

— Niezupełnie. Obawiam się po prostu, że popełniacie straszliwy błąd.

— Jaki mianowicie?

— Pomyliliście po prostu osoby. Wydaje się wam pewnie, że jestem sir Reginaldem Styksem.

— Oczywiście, że pan nim jest.

— Niestety to nieprawda. Wcale nie jestem Stylesem.

Anat spojrzała na niego z pogardą.

— Słabo się pan stara, sir Reginaldzie. Naprawdę nie stać pana na nic lepszego? Odpowiada pan jego rysopisowi, przebywa w jego domu, pije jego wino i je jego jedzenie, lecz mimo to nie jest pan Stylesem?

Partyzanci ponownie wycelowali w niego miotacze. Jo zamarła z przerażenia. Przypomniała sobie zrobiony własnoręcznie manekin oraz sposób, w jaki zamigotał i zniknął. Próbowwała po raz drugi zasłonić Doktora, ale Boaz złapał ją, cisnął na fotel i przytrzymał lewą ręką.

— Przyznaję, że brzmi to trochę nieprawdopodobnie — powiedział ze spokojem Doktor — ale może zechcecie rzucić okiem tę gazetę.

Anat podeszła do stołu i wzięła do ręki dziennik. Było to popołudniowe wydanie z tego samego dnia. Przez pierwszą stronę biegł wypisany wielkimi literami tytuł: „Styles leci do Pekinu, żeby zażegnać kryzys”.

— Jest tu nawet jego portret — powiedział wesoło Doktor. — Jak widzicie, jesteśmy do siebie zupełnie niepodobni.

Zatroskana Anat przyjrzała się tytułowi, potem zdjęciu i na koniec Doktorowi.

— Jeśli nie nazywa się pan Styles, kim pan jest?

— Może mi pani wierzyć lub nie, ale czekałem tu na was. Boaz, który przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym zniecier pliwieniem, podniósł ponownie broń.

— Tracimy tylko czas, Anat. Potrafię to sam załatwić.

Dziewczyna z zadziwiającą siłą odsunęła jego miotacz.

— Ja dowodzę tą misją. Jesteśmy żołnierzami, nie mordercami. Wyjdź na korytarz. Chcę, żebyś objął wartę.

Przez moment Boaz nie ruszał się z miejsca. A potem kiwnął głową i poszedł w stronę drzwi.

— Może odpowie pan sensownie na moje pytanie — zażądała Anat, zwracając się do Doktora. — Jakim cudem mógł pan na nas czekać? Nie mógł pan wiedzieć, że tu się zjawimy.

— Owszem, mogłem. Próbowaliście już raz uśmiercić Sty-

lesa. Doszedłem do wniosku, że będziecie się starali powtórzyć zamach.

— I pan umyślnie zajął jego miejsce. Dlaczego?

— Ponieważ chciałem z wami porozmawiać. Dowiedzieć się, dlaczego chcecie zabić Stylesa. Dowiedzieć się, skąd, a co jeszcze ważniejsze, z jakiej epoki przybywacie.

Anat posłała mu ostre spojrzenie. Ostatnia uwaga wskazywała, że jej rozmówcy nie jest obca idea podróży w czasie. Nagle do pokoju wpadł z powrotem Boaz.

— Żołnierze! Nadchodzą ścieżką!

— Musimy się ukryć. Zabierzcie ich — powiedziała Anat, wskazując Jo i Doktora.

Partyzanci wyprowadzili szybko swoich więźniów na korytarz. Na dworze słychać było skrzypienie wojskowych butów. Anat rozejrzała się dookoła. Pod klatką schodową znajdowały się duże drewniane drzwi do piwnicy.

— Schodzimy na dół — zakomenderowała Anat. Popychani przez partyzantów, Jo i Doktor zeszli po ciemku do piwnicy. — Trzymamy was oboje na muszce — usłyszeli syk Anat. — Jedno słowo i będziecie martwi.

Mała grupka przycupnęła bezszelestnie w ciemności. Sierżant Benton i jego ludzie rozglądali się zdziwieni po pustym holu.

— Doktorze! Panno Grant! — zawołał sierżant. — Gdzie jesteście? — Odpowiedziała mu cisza. — Zajrzyjcie do innych pokoi — polecił swoim podkomendnym. Stukając buciorami, żołnierze rozbiegli się po całym domu.

Benton zobaczył drzwi pod klatką schodową. Otworzył je, znalazł wyłącznik i zapalił światło. Pojedyncza zakurzona żarówka oświetlała drewniane schody prowadzące do otynkowanej na biało piwnicy. W półmroku widać było ustawione

jedna obok drugiej półki z winami.

— Jest tam kto? — zawołał sierżant, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Kilkadziesiąt centymetrów dalej przycupnęła za masywnymi drewnianymi drzwiami pięcioosobowa grupka. Jo i Doktor czuli wbijające się w ich czoła chłodne metalowe lufy. Benton przez chwilę się zastanawiał. Coś mu się tu nie podobało... A potem usłyszał, że woła go kapitan Yates. Zgasił światło i zamknął drzwi.

Yates stał w holu z ponurą miną.

— Drugi patrol nie zgłasza się na wezwanie, sierżancie. Jakby rozpułnili się w powietrzu.

— Podobnie jak Doktor i panna Grant, panie kapitanie. Oszklone drzwi są stłuczone, a w gabinecie widać ślady walki. Sądzi pan, że zostali porwani?

Do holu zaczęli wracać pozostali żołnierze.

— Sprawdziliśmy wszystkie pomieszczenia, sierżancie — powiedział jeden z nich. — Cały dom jest pusty.

Yates spojrzał na zegarek.

— Niedługo zacznie świtać. Przeszukamy dokładnie cały teren i skontaktujemy się z innymi patrolami. Ktoś musiał przecieć coś widzieć — powiedział, po czym odwrócił się i wyszedł na dwór.

Kiedy w holu umilkło stukanie wojskowych butów, Anat zapaliła światło i rozejrzała się po piwnicy.

i— To powinno na razie wystarczyć. Zwiążcie ich i zakneblujcie!

Boaz i Shura zepchnęli Doktora i Jo na dół, a Anat minęła hol, weszła z powrotem do gabinetu i wyjrzała ostrożnie przez okno. Zbliżał się świt. Na wschodzie jaśniała blada smuga

światła. Anat przyjrzała się niewyraźnym zarysom parku. Wpatrywała się w ten spokojny krajobraz ze swego rodzaju podziwem. A potem rozejrzała się po gabinecie. Po raz pierwszy dotarło do niej w pełni, że przemieściła się w czasie. Komfort i luksusy, w jakie opływały stare domy jak ten, odeszły w przeszłość na długo przed jej urodzeniem. Wyciągnęła rękę i dotknęła miękkich welwetowych zasłon.

Wejście Boaza i Shury sprawiło, że wróciła do rzeczywistości. Nie przybyli tu, żeby rozkoszować się przeszłością Ziemi, ale żeby zmienić jej przyszłość.

— Przez jakiś czas nie powinniśmy mieć żadnych kłopotów — oznajmił Boaz. — Co teraz zrobimy? — zwrócił się z lekką wymówką do dziewczyny.

— Zamierzam poprosić o nowe rozkazy. Zmieniła się cała sytuacja. — Anat wyjęła z kieszeni kurtki małe subtemporalne urządzenie nadawczo-odbiorcze. — Misja wzywa bazę... misja wzywa bazę — powiedziała do mikrofonu. Z głośnika dobiegały' wyłącznie trzaski. Anat potrząsnęła głową. — Nie ma połączenia. Musiało dojść do jakichś zakłóceń w Wirze Czasu.

— Może pójde do tunelu — zaproponował Shura. — Mamy tam duży nadajnik. Powinien łączyć.

Anat przez chwilę się zastanawiała.

— W porządku — powiedziała w końcu. — Powiedz im, co się stało. Zapytaj o Styleasa. Powinni wiedzieć, kiedy tu wróci. I pośpiesz się, za chwilę będzie jasno.

Shura wybiegł przez oszklone drzwi i za chwilę zniknął w półmroku. Anat opadła na fotel, uświadamiając sobie po raz pierwszy, jak bardzo jest zmęczona.

— Chyba jasne jest, co musimy zrobić — powiedział Boaz,

przyglądając się jej.

— To znaczy?

— Udało nam się tutaj dotrzeć. Jesteśmy w domu Stylesa. Zaczekamy na jego powrót i zabijemy go.

Anat spojrzała na niego znużonym wzrokiem.

— A jeśli Styles w ogóle tu nie wróci? Jak długo, twoim zdaniem, możemy tu się ukrywać? Co zrobimy z tą dwójką w piwnicy?

— Mogą się okazać użyteczni jako zakładnicy.

— A jeśli nie okażą się użyteczni? Jeśli będą stanowić dla nas zagrożenie?

Boaz wzruszył ramionami.

— Wtedy ich zabijemy.

W piwnicy Doktor od dłuższego już czasu poruszał w dziwny sposób podbródkiem i szyją. W końcu pokręcił po raz ostatni brodą i uwolnił się od knebla.

— Nareszcie — stwierdził z westchnieniem ulgi.

— Mmmm — mruknęła poirytowana Jo. — Mmm mmmm mmmmm mm?

Doktor uważnie jej się przyjrzał.

— Nie jestem do końca przekonany, czy powinienem cię uwolnić od knebla. Tak jak jest, mam przynajmniej chwilę spokoju.

Jo wydała z siebie kolejną serię groźnych pomruków i Doktor podczołgał się do niej. Po krótkich staraniach udało mu się wyciągnąć jej knebel zębami.

Jo natychmiast zarzuciła go pytaniami.

— Kim są ci ludzie, Doktorze? Dlaczego chcą zabić Stylesa? Z jakiego kraju przybyli?

— Powoli, Jo. Pytanie zresztą nie brzmi: z jakiego kraju, ale z jakiej epoki? Sądząc po rozwoju technologii, uważam, że wyprzedzają nas o jakieś dwieście lat.

— Są z dwudziestego drugiego wieku? — zdziwiła się Jo.

— I złożyli wizytę w dwudziestym — kontynuował zamyślony Doktor — żeby po przemieszczeniu się w czasie odnaleźć i zabić pewnego polityka. Ale dlaczego?

— To pan zna na ogół wszystkie odpowiedzi, Doktorze.

— Trzeba zacząć od tego, że nie są pospolitymi przestępcami.

— Czyżby? — oburzyła się Jo. — Nie pamięta już pan, że chcieli pana zabić?

— Słowo, którego użyli, brzmiało „egzekucja”. To polityczni fanatycy. Wydaje mi się, że przybyli tutaj, żeby zmienić historię. A to jest pomysł, który może wpaść do głowy tylko szaleńcom. — Doktor przez chwilę milczał. — Spróbuję teraz oswobodzić cię jakoś z więzów, Jo — powiedział w końcu. — Przy najmniej czymś się zajmę.

Kontroler przyglądał się naukowcom Daleków, którzy dozorowali proces instalacji potężnych i skomplikowanych urządzeń w Sali Nasłuchu Temporalnego.

— Prowadzimy aktualnie stałą obserwację Wiru Czasu — poinformował stojącego obok Czarne Daleka. — Jeśli natrafimy na ślad transmisji, która będzie trwała wystarczająco długo, z pewnością zdołamy zlokalizować jej źródło.

— Wszyscy wrogowie Daleków — zaintonował Czarny Dalek — muszą zostać wyśledzeni i zlikwidowani!

— Nie bardzo wiem, do czego ma służyć nowy sprzęt — stwierdził Kontroler.

— Ponieważ nie mogłeś własnymi siłami uwięzić przestęp-

ców, wspomozemy cię naszą technologią. To jest magnetron. Jeśli ktoś posłuży się ponownie transmittersem czasu, zostanie przeniesiony do Wiru Czasu i zmaterializuje się tutaj.

— Ale to dotyczy wyłącznie transmittersa, na którego sygnał trafiliśmy już przedtem?

— W tym celu należy nastawić magnetron na częstotliwość tego konkretnego transmittersa — odparł nadąsanym tonem Czarny Dalek.

Na Kontrolerze nie wywarło to większego wrażenia. Jeśli cała aparatura miała być nastawiona na jeden transmitters, uda im się co najwyżej ująć jedną osobę. Kiedy bojownicy ruchu oporu zorientują się, jak bardzo ryzykowna jest podróż w czasie, zaprzestaną po prostu tych prób. Wiedząc jednak dobrze, że nie powinien wyrażać na głos swych wątpliwości, pokornie pochylił głowę.

— Jest całkiem prawdopodobne — oświadczył Czarny Dalek — że przestępcy zechcą powrócić w to samo miejsce, gdzie został zlokalizowany pierwszy z nich. Wyślij kolejny patrol w tę samą strefę czasoprzestrzenną.

— Z całym szacunkiem, czy to na pewno rozsądne posunięcie? — zapytał, podnosząc wzrok, Kontroler. — Jeśli ich ktoś zobaczy...

Dalek obrócił się gwałtownie w jego stronę. Głos podniósł niemal do histerycznego krzyku.

<sup>54</sup> Nie ośmielaj się dyskutować z Dalekami! Obowiązkiem człowieka jest słuchać i wykonywać rozkazy!

Kontroler ponownie pochylił głowę i w ślad za Czarnym Dalekiem opuścił salę. Wyczuwał, że Dalekowie są przestraszeni, i wiedział, że ich strach przyniesie tylko jeden wynik: staną się jeszcze bardziej bezwzględni. A to oznaczało dalsze prześla-



dowania i ucisk Ziemian. Przemierzając długie korytarze Centralnego Ośrodka, Kontroler intensywnie się zastanawiał. Dlaczego bojownicy ruchu oporu wracali do dwudziestego wieku? Jaki był ich cel, do którego realizacji Dalekowie za wszelką cenę starali się nie dopuścić?

Znalazłszy się w swoim gabinecie, wydał polecenie, aby wysłano patrol Ogronów do tunelu, w którym został zlokalizowany pierwszy partyzant.

Dotarcie do tunelu zabrało Shurze dużo czasu. Wprawdzie poruszał się szybciej, ponieważ był sam, jednak zaczęło się już przejaśniać, a do tego cały teren przemierzały bez przerwy patrole UNIT.

Dość długo siedział ukryty na drzewie niedaleko ogrodzenia. Kiedy ostatni żołnierze zniknęli mu z oczu, zeskoczył na ziemię i zaczął wspinać się na mur. Dostrzeżono go w ostatniej chwili. Słyszac głośne krzyki, zeskoczył na drugą stronę i pognął, ile miał sił w nogach, w kierunku tunelu. Domyślał się, że żołnierze będą go ścigali.

Znalazłszy się w środku tunelu, przystanął na chwilę, żeby przyzwyczaić oczy do ciemności, a potem macając przed sobą rękoma ruszył w stronę jamy, w której schował sprzęt. Odsunął na bok dwie ciężkie bomby Daleków, wyjął duży transmitter i zaczął nadawać.

— Misj a wzywa bazę... misj a wzywa bazę..<sup>55</sup>

Ale nawet ten potężny nadajnik emitował tylko szum i trzaski. W Wirze Czasu musiało dojść do jakichś dużych zakłóceń, pomyślał Shura. Może było to wynikiem zastosowania nowego urządzenia Daleków — ich technologia podróży w czasie stale się rozwijała.

Miał właśnie zamiar spróbować ponownie, kiedy potężna stopa nadepnęła na nadajnik, całkowicie go miażdżąc. Shura podniósł wzrok i zobaczył nad sobą szczerzącego dziko kły Ogrona. Bestia błyskawicznie wyrwała mu z kabury miotacz, a potem uniosła Shurę i cisnęła o ścianę tunelu.

Shura był młody i silny i potrafił walczyć. Podobnie jednak jak inni ludzie, w starciu z Ogronami nie miał żadnych szans. Bestia objęła go ciasno ramionami jak niedźwiedź i przewróciła na ziemię. Kiedy próbował wstać, obuta stopa zmiażdżyła mu żebra. Turlając się usiłował umknąć przed kolejnymi kopnięciami.

Tylko jedna rzecz ratowała go w tej nierównej walce. Domyślał się, że Ogron nie chce go zabić. Albo raczej chce, ale nie może tego zrobić, ponieważ rozkazano mu dostarczyć go żywego. Znęcając się nad nim, rozładowywał po prostu frustrację spowodowaną tym, że nie wolno mu było pozbawić go życia. Shura doczołgał się do jamy i poszukał w niej po omacku zapasowego miotacza, leżącego obok bomb. Kiedy Ogron ponownie wyciągnął po niego swoje łapska, rzucił się w bok i wstał trzymając broń w obu dłoniach. Strzelił i bestia obróciła się w niebyt.

Łapiąc kurczowo powietrze, Shura osunął się na ziemię. Zbadał odniesione obrażenia: miał złamaną rękę i kilka żeber. W pobliżu muszą kręcić się kolejni Ogronowie, pomyślał, walcząc z ogarniającym go ośpieniem. Jeśli go dopadną, nie ma żadnych szans. Było tylko jedno miejsce, gdzie mógł się ukryć.

Odgarniając na bok gruzy zdrową ręką powiększył jamę, w której schowali sprzęt, a potem wczołgał się do środka, wciągnął za sobą zniszczony transmiter i miotacz, po czym zamaskował wejście kamieniami.

Po kilku minutach w tunelu pojawili się kolejni Ogronowie. Shura usłyszał krzyki, a potem strzały. Dochodziły go gardłowe pomrukiwania Ogronów, a potem znajome buczenie transmitera czasu. Domyślił się, że Ogronowie zostali zauważeni przez żołnierzy i wracają do własnej strefy czasowej. Wkrótce usłyszał kolejne ludzkie okrzyki i chrzęst stąpających po zwi-rze wojskowych butów.

Patrol powinien go właściwie odnaleźć, ale żołnierze UNIT pamiętali dobrze, że wbiegli już raz w ślad za Ogronami do tunelu i nie znaleźli nikogo. W gruncie rzeczy nie mieli wcale ochoty marudzić tutaj zbyt długo na wypadek, gdyby te podobne do goryli bestie zupełnie się nie zdematerializowały. Cały patrol przebiegł szybko z jednego końca tunelu na drugi.

— Nic z tego, kapralu, znowu zniknęły — usłyszał Shura głos jednego z nich. A potem na dłuższy czas zapadła cisza.

Pobity i wyczerpany, osłabiony nie tylko przez obrażenia, ale również w wyniku nerwowego napięcia, w jakim pozostawał przez kilka ostatnich godzin, poczuł, jak traci świadomość. Po paru chwilach, zwinięty w kłębek w swoim usypanym z gruzów gnieździe, Shura zapadł w głęboki sen, przyciskając do piersi miotacz i bomby.

Anat i Boaz czekali na jego powrót z rosnącym niepokojem. Kiedy zaczął dzwonić telefon, Boaz podskoczył z wrażenia. Żadne z nich nie widziało nigdy ani nie rozmawiało przez telefon, ale wiedzieli, jak się nim posługiwać. 57

Wpatrywali się bezradnie w aparat, czekając na próżno, aż umilknie. Ale on dzwonił i dzwonił. Anat sięgnęła w końcu po słuchawkę.

— Zostaw to! — syknął Boaz.

— Jeśli nikt nie odpowie, nabiorą podejrzeń — powiedziała.

Po chwili podjęła decyzję. — Przyrowadź tych ludzi z piwnicy.

Boaz wybiegł z pokoju; Anat wydawało się, że czeka na niego całą wieczność. Telefon nie przestawał terkotać.

W końcu do gabinetu wrócił Boaz, trzymając przed sobą na muszce Doktora i Jo.

— Rozwiąż go — powiedziała Anat. Boaz przeciął więzy, którymi były skrupowane nadgarstki Doktora, i popchnął go w stronę telefonu. — Odbierz — rozkazała Anat. — Powiedz im, że wszystko jest w porządku.

Boaz przysunął lufę do jego głowy. Doktor powoli podniósł słuchawkę.

— Halo? — odezwał się.

— Przepraszam, że zawracam panu głowę tak wcześnie — usłyszał głos brygadiera. — Nie spałem całą noc w związku z tą konferencją na szczycie.

— Nic się nie stało, brygadierze. Szczerze mówiąc, ja też nie kładłem się spać dzisiejszej nocy.

— Polowanie na duchy, tak? — zachichotał oficer. — Coś się wydarzyło?

Anat przysunęła ucho do słuchawki, żeby słyszeć, co mówi brygadier.

— Nic się nie dzieje — odpowiedział Doktor. — Mamy tutaj absolutny spokój.

<sup>58</sup> Bardzo się cieszę. Chodzi o to, że dostałem jakiś niejasny raport od Yatesa i Bentona, że pan zniknął. Zajrzeli do domu i nie mogli pana znaleźć. Powiedzieli mi, że Austerly House jest kompletnie pusty.

— Naprawdę? — zdziwił się Doktor. — A tak, to musiało być wtedy, kiedy zeszliśmy na dół do piwnicy. Mówiłem już panu,

że stary Styles ma imponującą kolekcję win?

— Niech pan posłucha, Doktorze. Czy jest pan absolutnie pewien, że w domu wszystko w porządku? Pytam, bo Styles wraca jutro wieczorem i zabiera przewodniczących delegacji do Austerly House na wstępną nieformalną konferencję.

Boaz i Anat wymienili między sobą radosne spojrzenia.

— Nie jestem pewien, czy to rozsądny krok, brygadierze — powiedział Doktor, zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać. Boaz przysunął miotacz bliżej do jego głowy, a Anat posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Naprawdę? A to dlaczego?

Doktor nie odpowiedział.

— Jest pan pewien, że wszystko jest w porządku, Doktorze? — zapytał po chwili brygadier.

— Zapewniam pana, brygadierze — odparł powoli i wyraźnie Doktor — że nie ma się pan czym przejmować. Proszę to powtórzyć Styksowi. I premierowi. Niech pan to również koniecznie powtórzy marines.

Mając nadzieję, że dobrze opanował dwudziestowieczny slang, Doktor odłożył słuchawkę.

Przebywający w dowództwie UNIT brygadier obrócił się do Yatesa i Bentona.

— Mieliście rację. Doktor ma kłopoty. Wszystko wskazuje na to, że został uwięziony. Natychmiast wracamy do Austerly House — powiedział i ruszył ku drzwiom. — Aha, wyślijcie wiadomość do patroli. Niech szczelnie otoczą dom, ale nie wchodzą do środka.

Anat i Boaz nie posiadali się z radości.

— On tutaj wraca — zawołała Anat. — Sir Reginald wraca do tego domu. Będziemy mogli wykonać naszą misję.

— Oczywiście — potwierdził Boaz. — Konferencja odbędzie się jutro. Nie pomyliliśmy się tak bardzo co do daty.

— Rzeczywiście potraficie w znakomity sposób przepowiedzieć przyszłość — zgodził się Doktor — nie wydaje mi się to jednak niczym nadzwyczajnym, skoro nasza przyszłość jest waszą przeszłością.

Boaz i Anat nie zwracali uwagi na jego słowa. Podobnie zresztą jak Jo. Zanim partyzanci wyprowadzili ich z piwnicy, Doktorowi udało się prawie rozwiązać sznury krępujące jej dłonie. Mimo że miał związane nadgarstki, mógł posługiwać się palcami i stojąc odwrócony plecami do jej pleców zdołał rozplatać niemal do końca supły. Teraz Jo sama dokończyła dzieła. Ręce miała wolne. I nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Doktor ponownie spróbował rozmówić się z Anat.

— Czy nie nadeszła pora, żebyście powiedzieli mi, o co wam właściwie chodzi? — zapytał. — Dlaczego sądzicie, że śmierć Stylesa zmieni w jakiś sposób przyszłość, z której przybywacie?

— Zmieni ją zasadniczo — odparła dziewczyna.

— Styles nie jest złym człowiekiem. W tej chwili robi wszystko, co w jego mocy, żeby nie dopuścić do wybuchu wojny światowej...

— Wierzysz w to? — zapytała Anat. — Naprawdę w to wierzysz?

— Oczywiście.

— W takim razie mam dla ciebie raczej zaskakującą wiadomość. Twój przyjaciel Styles wcale nie stara się zapobiec

wojnie... on ma zamiar doprowadzić do jej wybuchu... chyba że uda się nam go powstrzymać.

Jo przebiegła nagle przez gabinet, złapała transponder czasu i uniosła go nad głowę.

— Teraz — zawołała — rzućcie oboje broń na podłogę.

Anat i Boaz nie zamierzali bynajmniej jej słuchać.

— Jeśli tego nie zrobicie — zagroziła Jo — roztrzaskam to urządzenie na kawałki. Zostaniecie tutaj na zawsze. Nigdy nie wrócicie do swojej własnej epoki.

— Jo... nic z tego nie rozumiesz — odezwał się Doktor. — Odłóż ten aparat, zanim zacznie znowu funkcjonować.

Dziewczyna zupełnie go zignorowała.

— Ostrzegam was, wcale nie żartuję — powiedziała, wpatrując się w Anat i Boaza.

— Drogie dziecko, my wcale nie potrzebujemy tego aparatu

tu — odparła prawie ze współczuciem Anat. — Mamy nasze własne. Jo spojrzała niepewnie.

— Blefujecie.

— Zapewniam cię, że nie blefujemy — odparła Anat.— Odłóż po prostu ten aparat i przestań się wygłupiać.

— Zrób to, co ci mówią — dodał, ku zdumieniu Jo, Doktor.

Zmieszana dziewczyna zacisnęła mocniej palce na aparacie, nieświadomie dotykając przycisków kontrolnych. Urządzenie zamruczało i nagle zaczęło funkcjonować. Jej ciało otoczyła migocząca aureola. Poczowała, jak porywa ją jakaś potężna siła... i na oczach wpatrującego się w nią z przerażeniem Doktora, nadal zaciskając palce na czarnym pudełku, Jo po prostu rozplynęła się w powietrzu i zniknęła...





## 6

### *W niewoli u Daleków*

Jo Grant obracała się i wirowała w dziwnej zamglonej pustce. Wkrótce straciła orientację, gdzie jest góra, a gdzie dół. Kręcąc się w kółko, leciała coraz dalej i dalej, przez cały czas czując potężne siły, które ciągnęły ją, każda w inną stronę, o mało nie rozrywając na kawałki. Była przerażona, a poza tym kręciło jej się w głowie i zbierało na mdłości. Kiedy myślała, że nie zniesie tego ani chwili dłużej, różne siły jak gdyby się połączyły i poczuła, że niosą ją w jednym konkretnym kierunku.

Stopniowo stawała się coraz bardziej cielesna, coraz bardziej realna. Opadła otaczająca ją mgiełka... i Jo zorientowała się, że znowu jest w jakimś konkretnym miejscu. Pod stopami czuła metalową chłodną podłogę.

Ostrożnie otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Znajdowała się w pomieszczeniu przypominającym dyspozytornię, przy ścianach była zamontowana błyszcząca obca aparatura. Otaczała ją grupa podobnych do małych ogromnych stworzeń o okrutnych dzikich pyskach. W łapach trzymały wielkie pistolety, podobne do tych, którymi posługiwali się partyzanci. Wszystkie były wymierzone prosto w nią.

— Jo! Jo! — zawołał Doktor, ale było już za późno. Jego asystentka zupełnie zniknęła. — Co się z nią stało? — zapytał Anat.

Dziewczyna spojrzała na niego prawie ze współczuciem.

— Aparat był chyba zepsuty. Najprawdopodobniej została zdezintegrowana. Jej molekuly rozproszyły się na zawsze w Wirze Czasu.

— Jeśli miała szczęście — stwierdził Boaz.

— A jeśli nie? — zapytał łamiącym się głosem Doktor.

Anat posłała mu kolejne pełne współczucia spojrzenie.

— Jeśli urządzenie zadziałało prawidłowo, to została przeniesiona do naszej strefy czasowej.

— Wierz mi, że lepiej byłoby dla niej, gdyby umarła — stwierdził złowrogo Boaz. — Co z nim zrobimy? — zapytał, wskazując miotaczem Doktora.

— Zwiąż go i zabierz z powrotem do piwnicy.

Anat wzięła doktora na muszkę, a Boaz powtórnie skrępował mu z tyłu nadgarstki, zaciskając mocno węzły. Tym razem nie było mowy o ich rozwiązaniu.

Gdy skończył, dał krok do tyłu.

— W porządku, teraz ruszaj do piwnicy — powiedział.

Doktor zignorował go.

— Czy na pewno nie możecie uratować mojej przyjaciółki? — zapytał, zwracając się do Anat. — Nie ma żadnego sposobu?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Naprawdę mi przykro. Ale sama sobie jest winna. Nie chcieliśmy, aby komuś stała się niepotrzebnie krzywda.

Boaz podszedł do Doktora i wbił mu lufę w zębra.

— Posłuchaj no ty. Anat może mieć miękkie serce, ale ja nie. Jeśli o mnie chodzi, jesteś tylko niepotrzebnym kłopotem i mogę się ciebie zaraz pozbyć. Ruszaj do piwnicy.

Nie ulegało kwestii, że towarzysz Anat wcale nie żartuje. Doktor wyszedł do holu, a Boaz pchnął go w dół po stopniach prowadzących do piwnicy.

Leżąc na chłodnej kamiennej podłodze, Doktor przez chwilę dał się porwać fali rozpacz. Wydawało się, że partyzanci mogą rzeczywiście zabić Stylesa i doprowadzić do wybuchu wojny. Dlaczego jednak tak im na tym zależało? Doktor westchnął. A teraz na dodatek zniknęła Jo — być może straciła życie, być może utknęła w jakiejś przerażającej obcej przyszłości.

Dłuższe poddawanie się zwątpieniu nie leżało jednak w jego naturze. Brygadier powinien przecież zrozumieć jego aluzję. Tak czy owak, zawsze można starać się polepszyć jakoś swoją sytuację. Cierpliwie i powoli Doktor zaczął próbować rozluźnić krępujące go sznury.

Eskortowana przez dwie podobne do małp bestie Jo Grant maszerowała nie kończącymi się lśniącymi metalowymi korytarzami. Od czasu do czasu mijała nędznie ubranych ludzi, którzy przemykali obok niej, śpiesząc do swoich obowiązków. Całe miejsce przypominało Jo gigantyczny kopiec. Wszyscy wydawali się przerażeni i zastraszeni, nikt nie okazywał najmniejszego zainteresowania jej osobą.

W końcu weszli do czegoś w rodzaju gabinetu i Jo została ciśnięta na krzesło. Za biurkiem siedział szczupły ciemny mężczyzna o zaszczutej wychudłej twarzy.

Dwie bestie stanęły za jej krzesłem. Mężczyzna dał znak ręką, żeby wyszły.

Możecie odejść — powiedział, ale one nie ruszyły się z miejsca. — Odmaszerować! — rozkazał ponownie i dopiero wtedy odwróciły się i człapiąc ciężko, wyszły z pokoju.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

— To tylko służący, rozumie pani. Strasznie głupi! Naprawdę nie ma się czego bać.

— Kim oni są? — zapytała Jo.

— Czymś w rodzaju wyżej rozwiniętych antropoidów. Żyli w rozproszonych społecznościach na jednej z zewnętrznych planet. Są z nich użyteczni służący.

Przez moment Jo wyobraziła sobie jedną z tych bestii wnoszącą do pokoju tacę z herbatą. Zachichotała.

— Służący? — zapytała. — Jakie wykonują prace?

— Posługujemy się nimi jako swego rodzaju policjantami albo raczej pomocnikami prawdziwej policji.

— Rozumiem — rozpromieniła się Jo. — Ma pan na myśli, że są czymś w rodzaju psów policyjnych?

— Właśnie tak. Są bardzo wierni i bardzo lojalni.

Jo czuła, jak powoli opuszcza ją strach. Wyjaśnienie sprawiło, że bestie nie wydawały jej się już tak straszne. Ludzie używali w końcu od wieków psów strażniczych i w gruncie rzeczy chodziło o to samo. A mężczyzna wydawał jej się dość sympatyczny.

— Wiem, że to brzmi trochę głupio — rzekła — ale czy mógłby pan powiedzieć, gdzie się znajdują?

— Jest pani w Centralnym Ośrodku Kontrolnym Sektora Pierwszego. Ja sprawuję funkcję jego Kontrolera. — W głosie mężczyzny zabrzmiała duma. Najwyraźniej przywiązywał wielką wagę do swojego stanowiska.

— Tak, ale gdzie? Na jakiej planecie?

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę. 61

— Jak to? Oczywiście, że na Ziemi. A gdzież by indziej?

— Ale wszystko tutaj jest takie inne — stwierdziła.

— To dlatego, że przemieściła się pani w czasie. Znajdujemy się teraz w dwudziestym drugim wieku.

Przez moment zakręciło jej się w głowie.

— Niech pani się nie martwi — oznajmił uspokajającym tonem Kontroler. — Potrafimy przenieść panią z powrotem. Czy tego właśnie pani chce?

Jo pokiwała energicznie głową.

— Tak, oczywiście.

Mężczyzna odchylił się do tyłu na swoim krześle.

— Najpierw jednak chciałbym, żeby opowiedziała mi pani, co wydarzyło się, zanim się pani tu znalazła.

Kontroler wysłuchał cierpliwie opowieści dziewczyny. Gratulował sobie właściwego podejścia. Od samego początku wiadomo było, że dziewczyna nie należy do partyzantki. Jednak ponieważ posiadała transmiter czasu, to w jakiś sposób, prawdopodobnie całkiem przypadkowo, musiała wejść w kontakt z ruchem oporu. Jej opowieść potwierdziła tę teorię.

Kiedy dziewczyna skończyła, siedział przez dłuższą chwilę, starając się przetrawić nowe informacje. Żałował, że ma tak skąpą wiedzę na temat dwudziestego wieku. Dlaczego tak ważny był dla nich ten cały Styles?

— Najgorsze jest to — oświadczyła Jo — że Doktor wciąż znajduje się w ich rękach.

— Obawiam się, że pani przyjaciel znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie — powiedział Kontroler.

— Ale dlaczego? — zapytała załamana. — Wiedzą przecież, że nie jest tym, o kogo im chodzi.

Kontroler zrobił poważną minę.

— Nie zna pani tych ludzi tak dobrze jak ja, panno Grant. Walczę z nimi od lat. Ponoszą odpowiedzialność za najbardziej przerażające zbrodnie. A jeśli ktoś wejdzie im w drogę, nie mają dla niego litości.

Jo przypomniała sobie rozpalone fanatyzmem oczy trójki

partyzantów; ciarki przeszły po niej.

— Wierzę panu — powiedziała.

Kontroler pochylił się w jej stronę.

— Moglibyśmy zorganizować operację, która miałaby na celu uratowanie pani przyjaciela. Potrzebujemy jednak pani udziału.

— Ależ oczywiście. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Wiemy, że to terroryści go uwięzili. Mamy mapy terenu, na którym stał kiedyś Austerly House. Równie ważne jest jednak pytanie o czas. Czy pamięta pani, kiedy dokładnie przybyli ci przestępcy?

Jo kiwnęła głową.

— Zaraz po północy.

— Oczywiście, ale jaki macie aktualnie dzień, miesiąc, rok?

Zaintrygowana Jo odpowiedziała na jego pytanie. Kontroler westchnął z ulgą.

— Wyśmienicie. Jestem pewien, że będziemy mogli pomóc pani przyjacielowi. Teraz przeproszę panią na chwilę. Muszę natychmiast poczynić przygotowania do ekspedycji ratunkowej.

— Zabierze mnie pan ze sobą, abym mogła wrócić do mojej epoki?

Kontroler okrążył biurko i uściśnął jej dłoń.

— Naturalnie, naturalnie. Ale teraz jest pani z pewnością zmęczona, spragniona i głodna. Mamy specjalne apartamenty dla honorowych gości. Pozwoli pani, że zaprowadzę ją do jednego z nich...

Przystanął na chwilę przy drzwiach.

— Czy przybywając do waszej epoki, terroryści pojawili się od razu obok domu? — zapytał.

— Nie wydaje mi się — odpowiedziała Jo. — Zobaczyliby ich z pewnością żołnierze UNIT.

— Czy ma pani pojęcie, skąd przybyli? Czy jest w okolicy jakaś kryjówka?

Jo zmarszczyła brwi.

— Niedaleko domu znajduje się stary, nie używany tunel kolejowy. W nim właśnie odnaleźliśmy rannego mężczyznę





i aparat służący do przemieszczania się w czasie. Mogli ukryć się właśnie tam. To bardzo długi tunel i kompletnie opuszczony.

— Tunel? — zapytał Kontroler. — Doskonale. A teraz proszę ze mną. Dam pani znać, kiedy tylko będę miał jakieś wiadomości.

Kilka minut później stanął ponownie przed Czarnym Dalekiem.

— Całkowicie pozyskałem jej zaufanie. Dzięki mnie mamy teraz wszystkie potrzebne informacje.

Wiedział, że próżno byłoby czekać na jakąkolwiek pochwałę. Dalekowie odzywali się tylko po to, żeby potępić w razie niepowodzenia. Ich słudzy musieli albo odnosić sukcesy, albo ponieść karę.

— Terrorysty używają tunelu jako punktu transferowego — powiedział Czarny Dalek. — Przygotujemy zasadzkę w dwudziestym wieku.

— Siły bezpieczeństwa są w pełnej gotowości — powiedział szybko Kontroler. — Jeśli sobie życzycie, mogę osobiście objąć dowodzenie.

Czarny Dalek obrócił ku niemu swe osadzone na słupku oko.

— Ta ekspedycja jest zbyt ważna — oznajmił z wyraźną pogardą w metalicznym głosie — aby powierzyć ją człowiekowi. Będzie ci towarzyszyć kilku z nas. Wyprawą będą kierować Dalekowie!



## 7

### *Atak Ogronów*

Boaz wyjrzał ostrożnie przez szparę między zasłonami.

— Po terenie krąży kilka patroli, ale żaden z żołnierzy nie podchodzi blisko domu.

— Po co mieliby to robić? — stwierdziła Anat. — Wierzą, że nie licząc tej biednej dziewczyny i Doktora dom jest kompletnie pusty.

Boaz odwrócił się od oszklonych drzwi.

— Przed powrotem Stylesa na pewno przyślą tu wielu ludzi. Taki człowiek jak on musi mieć mnóstwo służących... wiem o tym z książek.

Anat wzruszyła ramionami.

— To duży dom. Znajdziemy jakąś kryjówkę. Może na strychu, może w piwnicy, razem z naszym więźniem.

— Tak, oczywiście — zgodził się Boaz. — Możemy także wziąć służących jako zakładników. Musimy przetrwać tylko do powrotu Stylesa. Po dokonaniu egzekucji uciekniemy albo zginie<sup>64</sup>my, ale to naprawdę nie ma większego znaczenia.

Anat spojrzała na niego z niepokojem. Zastanawiała się, jak długo Boaz będzie w stanie czekać. Znosił to wszystko coraz gorzej, a przeciwności podsycaly do ostatecznych granic jego fanatyzm. Ona sama była bardziej spokojna, bardziej zdeterminowana. Gorzko żałowała dziewczyny i żołnierzy, którzy ponieśli śmierć podczas ich misji. Ale to była cena, jaką musieli zapłacić za sukces. W podobny sposób traktowała ewentual-

ność własnej śmierci.

Nagle rozległ się znajomy dźwięk. Oboje podbiegli do okna.

Tuż przy domu pojawili się Ogronowie. Boaz podniósł miotacz i zdematerializował pierwszego, zanim ten zdążył zorientować się, gdzie jest. Anat strzeliła do następnego.

Przez moment przypominało to ćwiczenia na strzelnicy. Ogron pojawiał się, rozglądał dookoła i natychmiast trafiony, znikał tak samo szybko, jak przybył. Ale nie mogli pozbyć się ich wszystkich. Inne bestie pojawiały się poza linią ognia i ruszały szybko do ataku.

W powietrzu rozbrzmiewało głośnie bzyczenie dezintegratorów. Wkrótce dołączył do nich grzechot broni maszynowej.

— To żołnierze! — zawołał z radością Boaz.

Do domu zbliżały się oddziały UNIT, które starały się nie dopuścić Ogronów do Austerly House.

Bestie dysponowały jednak znaczną przewagą. Ich broń była po prostu o wiele bardziej skuteczna. Żeby zabić jednego Ogrona, żołnierz musiał wystrzelać cały magazynek. Jeden albo kilka pocisków tylko jeszcze bardziej rozwścieczało bestię, która rycząc z bólu, walczyła dalej, unicestwiając pojedynczymi strzałami kolejnych żołnierzy.

Anat i Boaz, strzelający od strony rozbitych już w drzazgi oszklonych drzwi, mieli własne dezintegratory, wyposażone w atomowe baterie praktycznie nie do wyczerpania. Ale było ich tylko dwoje i Ogronowie przewyższali ich liczebnie.

Słyszając odgłosy walki, Doktor ze zdwojoną energią podjął próby uwolnienia się. Podkurczył nogi i kopnął z całej siły najbliższy stojak z winami, który z głośnym brzękiem tłuczonego szkła runął na podłogę. Doktor podczołgał się bliżej i zaczął przecinać więzy ostrym kawałkiem butelki.

Żołnierz UNIT posłał długą serię w stronę najbliższego Ogrona. Rycząc głośno, bestia osunęła się na ziemię. Żołnierz sięgnął po następny magazynek, ale zanim zdążył go założyć, inny Ogron unicestwił go z bliskiej odległości, a potem obrócił broń w stronę kolejnego człowieka, ale w tej samej chwili zdeintegrowała go stojąca przy drzwiach gabinetu Anat.

— Żołnierze nie mogą ich powstrzymać! — zawołał Boaz.

Anat widziała, że to prawda. Oddział UNIT stracił zbyt wielu ludzi. Za chwilę Ogronowie mogą się przedrzeć przez ochronny kordon i dostać do środka domu. Klęska była tylko kwestią czasu.

— Musimy uciekać z powrotem do tunelu — krzyknęła.

Zdeintegrowała kolejnego nacierającego Ogrona i wybiegła z pokoju.

Boaz został chwilę dłużej, osłaniając od drzwi jej odwrót. Kiedy odkręcił się, żeby pójść za nią, stanął twarzą w twarz z pokrytym kurzem i pajęczynami, krwawiącym z kilku skaleczeń na nadgarstkach, bardzo zdenerwowanym Doktorem.

Zanim Boaz zdążył się odezwać, otrzymał potężne uderzenie. Partyzant przeleciał przez pokój, a jego miotacz upadł na podłogę.

— Nie ruszaj się! — odezwał się dziewczęcy głos, kiedy Doktor pochylił się, żeby go podnieść. Poczuł na karku chłodną metalową lufę. W drzwiach stała Anat.

— Biegnij do tunelu — zawołała do Boaza, który nie ociągając się wypełnił jej polecenie. Dziewczyna pchnęła mocno Doktora i ruszyła za swym towarzyszem. W tej samej chwili rozległ się brzęk tłuczonego szkła i do gabinetu wpadł Ogron, rozbijając ostatnie ocalałe szybki oszklonych drzwi.

Doktor natychmiast zaatakował napastnika, sięgając po jego

miotacz. Siła bestii była olbrzymia; Doktor na próżno starał się wyrzeć broń z jej owłosionej łapy, drugą ręką broniąc się przed złapaniem za gardło. Zdawał sobie sprawę, że nie pokona przeciwnika w normalnej walce, więc zastosował starą zasadę judo — obrócił olbrzymią siłę Ogrona przeciwko niemu samemu. Ustępując przed atakiem, przewrócił się na plecy, wbił stopę w brzuch bestii i posłał ją w powietrze. Olbrzym wyrzwał czubkiem głowy w ścianę i ogłuszony osunął się na podłogę. Doktor chciał odebrać mu dezintegrator, ale bestia wciąż trzymała go mocno w owłosionej łapie. Na podłodze leżała jednak porzucona broń Boaza. Doktor podniósł ją i podążył za partyzantami.

Minąwszy hol i kuchnię, wyskoczył na małe kamienne podwórko, przeciął je na ukos i wydostał się przez furtkę na biegnącą z tyłu domu, wysypaną żwirem ♦alejkę. Ustaliwszy szybko swoje położenie, postanowił pobiec do tunelu. Coś podpowiadało mu, że ma szansę uratować Jo tylko wówczas, gdy będzie się trzymał blisko partyzantów. Nagle zza rogu budynku wybiegło dwóch Ogronów, odcinając mu drogę ucieczki. Doktor podniósł w górę broń Boaza i nacisnął spust. Rozległ się głośny bzyk i jeden z napastników natychmiast obrócił się w nicość. Doktor wycelował broń w drugiego olbrzyma, ale tym razem nic się nie wydarzyło. Miotacz albo się zaciął, albo zostało uszkodzone jego zasilanie. Doktor cisnął nim w głowę Ogrona, ale chybił. Olbrzym uśmiechnął się złowrogo, obnażając żółte kły, a potem uniósł powoli broń, napawając się bezradnością swojej ofiary;

Doktor skulił się cały, próbując sobie wyobrazić, jak będzie wyglądać odpłynięcie w nicość. Nagle z boku rozległ się głośny warkot motoru; Ogron obrócił się w stronę nowego prze-



ciwnika.

Zza rogu Austerly House wyjechał dżip, za którego kierownicą siedział brygadier Lethbridge-Stewart. Zanim Ogron zdążył nacisnąć spust, oficer najechał na niego w pełnym pędzie, a potem ostro zahamował.

Ogron przeleciał kilka metrów w powietrzu, uderzył głuchoko ziemię i natychmiast zerwał się na nogi. Nie tracąc zimnej krwi, brygadier złapał leżący na siedzeniu obok pistolet maszynowy Sterling i władował w niego cały magazynek. Olbrzym zachwiał się i osunął na ziemię, zaś oficer wyskoczył z dżipa, dał krok przez jego martwe ciało i ruszył w stronę umorusanego

1 pokrwawionego Doktora.

— Dobrze się pan czuje? Co pan tutaj, do diabła, robi?

Doktor posłał mu słaby uśmiech.

— Czuję się dobrze. Dziękuję za udzieloną dosłownie w ostatniej chwili pomoc.

— W takim razie może wyjaśni mi pan, co się tutaj dzieje — powiedział surowym głosem brygadier. — Co to za stworzenia?

— Spróbuję wytłumaczyć to panu później. W tej chwili trochę się śpieszę — odparł Doktor, po czym ku oburzeniu oficera wskoczył do dżipa i nacisnął pedał gazu.

— Niech pan wraca! Niech pan natychmiast wraca! — wrzasnął za nim Lethbridge-Stewart, ale Doktor pomachał mu tylko wesoło na pożegnanie i po krótkiej chwili samochód zniknął za rogienł.

Niedługo potem Doktor znalazł się na drodze biegnącej w pobliżu tunelu i zobaczył znikających w jego głębi Boaza



i Anat. Zatrzymał się tak blisko wjazdu, jak to było możliwe, i porzuciwszy dżip, pobiegł za partyzantami.

Wewnątrz tunelu znalazł się prawie w kompletnej ciemności. Usłyszał odbijające się echem kroki, ruszył więc do przodu, macając dookoła rękoma. Po jakimś czasie odgłosy umilkły; Doktor zobaczył w oddali małe światełko i skierował się w tę stronę.

Nagle do jego uszu doszło dziwne buczenie, więc obejrzał się za siebie. W ciemności dostrzegł żarzący się krąg, który emitował niesamowite światło. Po chwili w jego wnętrzu zaczął się formować jakiś kształt. Była to istota, którą Doktor doskonale znał, istota, która należała do jego najstarszych i najzacieklejszych wrogów. W tunelu materializował się Dalek.

Po chwili cały proces zakończył się. Wciąż wydzielając z siebie niesamowite światło przybysz obrócił dookoła osadzonym na słupku okiem, tak jakby sprawdzał, gdzie się znajduje. Doktor zamarł w bezruchu, przywierając do ściany tunelu. Za Dalekiem zaczęli się materializować Ogronowie.

— Zatrzymajcie się — odezwał się Dalek znajomym, metalicznie skrzypiącym głosem, tak jakby wyczuwał w jakiś sposób obecność Doktora. — Jesteście wszyscy wrogami Daleków. Poddajcie się albo zostaniecie zlikwidowani! — zagrzytał, po czym obrócił jeszcze raz okiem i zaczął toczyć się tunelem w stronę Doktora.



## 8

### *Podróż w przyszłość*

— Jesteście wszyscy wrogami Daleków! Poddajcie się na tychmiast albo zostaniecie zlikwidowani! — zazgrzytał ponownie metaliczny głos.

Doktor zorientował się, że Dalek wcale go nie widzi. Zwracał się do partyzantów. W jakiś sposób musiał się dowiedzieć, że znajdują się w tunelu. Doktor odwrócił się i pobiegł ile sił w nogach w stronę jaśniejszego w oddali punktu.

Kiedy zbliżył się, spostrzegł, że światło pada z małego, podobnego do latarki urządzenia. Anat stała tuż obok Boaza, trzymając go za rękę. W drugiej dłoni każde z nich miało czarne pudełko. Dwa transmitery czasu pulsowały rytmicznie i wokół dwójki partyzantów zaczęła się już tworzyć migocząca aureola.

— Cofnij się! — zawołała dziewczyna, kiedy Doktor zbliżył się na odległość kilku kroków.

— W tunelu jest Dalek i kolejni Ogronowie — powiedział Doktor, łapiąc z trudem oddech. 69

Odwróciwszy się Anat i Boaz zobaczyli zmierzających w ich stronę przeciwników. Doktor pokazał ręką drugi wylot tunelu. Stamtąd również zbliżał się kolejny Dalek, prowadzący za sobą kilku Ogronów.

— Jesteście w pułapce — stwierdził Doktor.

Efekt świetlny pola czasowego stawał się coraz jaśniejszy.

— Cofnij się! — powtórzyła Anat. — Jeśli dostaniesz się w

obręb pola czasowego, przeniesiesz się razem z nami w przyszłość!

Ale Doktor nie zamierzał bynajmniej pozostać tam, gdzie się znajdował... i stawić czoła nacierającym z dwu stron Dale- kom i Ogronom. Zamiast się kłócić, złapał po prostu w zdecydowany niedźwiedzi uścisk Boaza. Partyzant usiłował się wyrwać, ale Doktor nie wypuszczał go z ramion i stało się jasne, że wybiera się dokładnie tam, dokąd zmierzał Boaz.

Kiedy nacierający z obu stron Dalekowie zbliżyli się na odległość kilkunastu metrów, mała grupka zamigotała i zniknęła z pola widzenia. Podobnie jak przedtem Jo Grant, Doktor zaczął obracać się i wirować w Wirze Czasu. Ponieważ był przyzwyczajony do takich podróży, zdecydowanie mniej go to przeraziło. Nie mógł nawet oprzeć się myśli, że przemieszczanie się w czasie tą metodą znacznie różni się od TARDIS — w tym samym stopniu, w jakim rejs luksusowym transatlantykiem różni się od podróży w beczce przez Niagarę.

Doktor zorientował się, że Wir Czasu powoli odpływa. Wrócili do realnego świata. Nagle zatrzęsł się cały i poczuł pod nogami stały grunt. Puścił Boaza i rozejrzał się dookoła. Nadal znajdowali się w tunelu, ale zupełnie innym, o znacznie nowocześniejszym wyglądzie.

Partyzanci sprawdzili swój sprzęt i schowali transmitters czasu.

— Ostrzegaliśmy cię — powiedziała Anat.

Doktor rozejrzał się wokół siebie z zainteresowaniem. Tunelem biegła tylko jedna szyna, stanowiąca część jakiegoś jednoszynowego systemu, zbudowanego prawdopodobnie w dwudziestym pierwszym wieku i teraz porzuconego. Anat pobiegła za jego spojrzeniem.

— Być może będzie to dla pana szokiem — powiedziała łagodnie — ale przemieściliśmy się w czasie.

Doktor posłał jej figlarne spojrzenie.

— Jestem prawdopodobnie o wiele bardziej przyzwyczajony do podróży w czasie od ciebie, moja panno.

Partyzanci zaczęli się oddalać.

— Poczekajcie — zawołał Doktor. — Skąd pochodzą ci Dalekowie, których widzieliśmy?

Anat spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Słyszał pan o Dalekach?

— Oczywiście. Można powiedzieć, że jesteśmy starymi wrogami. Co robią na Ziemi w tej strefie czasowej?

— Dalekowie rządzą Ziemią od prawie dwustu lat — odparła matowym głosem Anat.

— A ty jesteś kompletnym głupcem, jeśli przybyłeś tutaj, wiedząc, kim są — dodał Boaz.

— Przybyłem, aby odnaleźć Jo Grant. Dopóki istnieje choćby najmniejsza szansa, że żyje...

— Chodź, Anat — przerwał mu Boaz. — Pozostawanie tutaj grozi niebezpieczeństwem.

— Powiedzcie mi, proszę, gdzie mogę jej szukać — odezwał się Doktor.

— To twój problem — warknął Boaz, ciągnąc Anat za sobą.

— Nie możemy go tak tutaj zostawić — powiedziała, zatrzymując się w miejscu.

— Ja mogę — stwierdził Boaz. — Idziesz w końcu, czy nie?

<sup>72</sup> Jeśli uwięzili ją Dalekowie — szepnęła szybko Anat — będzie na pewno w Centralnym Ośrodku Kontrolnym. Ale nie próbuj jej uwolnić, to czyste samobójstwo.

— Uciekajmy, Anat! — krzyknął nagle Boaz. Z mroku wynurzyli się podążający ich śladem Dalekowie i Ogronowie.

Partyzanci odwrócili się i rzucili do ucieczki. Doktor również



wziął nogi za pas. Ten nowy zespół tunelów był istnym labiryntem, mającym liczne odgałęzienia. W niektórych miejscach dach był dziurawy i mrok rozświetlały pojedyncze smugi dziennego światła. Doktor skręcił w złą stronę i omal nie zderzył się z patrolem Ogronów. Odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem, słysząc za sobą ciężkie człapanie olbrzymów. Kiedy skręcił w kolejny tunel, zobaczył nad sobą smugę jasnego światła. Rozejrzał się dookoła i ujrzał przymocowaną do ściany drabinę. Podskoczył wysoko, złapał się ostatniego szczebla i przywarł nieruchomo do ściany, podczas gdy tunelem niżej przebiegł patrol Ogronów. A potem stwierdziwszy, że to również dobry kierunek jak każdy inny, zaczął wspinać się w górę.

Pod stropem znajdowała się zardzewiała kłapa. Doktor podważył ją ramieniem i usłyszał głośny zgrzyt; metal niechętnie ustępował. Doktor wystawił ostrożnie głowę i wyślizgnął się na zewnątrz.

Wszędzie otaczały go ruiny. Z tego, co widział, każdy metr terenu został najpierw szczelnie zabudowany, a potem gruntownie i metodycznie zrównany z ziemią. Rozciągało się przed nim morze gruzów, z którego tu i tam wystawały kawałki murów.

Doktor wyjął z kieszeni mały instrument. Było to coś w rodzaju zminiaturyzowanego licznika Geigera. Zbliżył czujnik do najbliższego rumowiska i urządzenie zaczęło cicho działać.

Instrument rejestrował słabe ślady promieniowania. To miasto obróciła w ruinę wojna atomowa. W miarę upływu czasu promieniowanie się zmniejszało.

Doktor wdrapał się na mały, usypany z gruzów pagórek i rozejrzał dookoła. W oddali dostrzegł wśród ruin grupę budynków, wzniesionych z surowego szarego betonu. Były so-

lidne, funkcjonalne, lecz brzydkie — nie istniało w nich nic, co przyciągałoby oko albo zachęcało do wejścia. Wyglądały — nie było lepszego słowa — typowo po dalekańsku. Doktor westchnął. Przy całej swej nieatrakcyjności budynki te stanowiły cel jego wędrówki. Na Ziemi wciąż musieli mieszkać jacyś ludzie. Omijając stosy gruzów, ruszył w drogę.

Życie Kontrolera Sektora Pierwszego Ziemi wisiało na włosku. Po ostatniej nieudanej próbie schwytania partyzantów został wezwany przed Naczelną Radę Daleków — najwyższe ciało rządzące Ziemią.

Stał samotnie w smudze ostrego światła w długiej pustej sali

o metalowych ścianach i lekko wznoszącej się z jednej strony podłodze. Naprzeciwko znajdowała się grupa Daleków ze strasliwym Czarnym i jeszcze od niego potężniejszym Złotym Dalekiem.

— Siły bezpieczeństwa przeczesają tunel, zarówno teraz, jak

1 w strefie dwudziestego wieku — podsumował krótko swój raport Kontroler. — Nikogo i niczego nie znaleziono. Nasze oddziały musiały opuścić strefę czasową dwudziestego wieku z powodu rosnącego oporu ludzkich sił zbrojnych.

Przez moment trwała dzwoniąca w uszach cisza.

74 Zawiodłeś Daleków — oświadczył w końcu Złoty Dalek. — Zostaniesz za to ukarany.

Kontroler zdawał sobie świetnie sprawę, że na nic nie zdadzą się prośby o łaskę. Postanowił powiedzieć, co myśli. W ten sposób przynajmniej umrze z godnością.

— Czy to ja jestem odpowiedzialny za klęskę? — zapytał. —

Operacja została przeprowadzona siłami Ogronów. I czyż nie kierowali nią sami Dalekowie?

Przez chwilę Dalekowie milczeli kompletnie osłupiali. Od ponad stu lat nikt na Ziemi nie ośmielił się podważyć ich aurytety.

— Ogronowie są głupi i niezgrabni — podjął Kontroler. — W tego typu operacjach są zupełnie bezużyteczni. Nadają się być może do pilnowania więźniów w obozach... ale zdecydowanie nie do akcji, które wymagają inteligencji i inicjatywy.

— Ogronowie są wiernymi sługami Daleków — stwierdził Czarny Dalek. W jego głosie zabrzmiała nuta niepewności.

— Niewątpliwie. Ale tylko ludzie mogą poradzić sobie z innymi ludźmi. Gdybyście pozwolili mi zwerbować ich do oddziałów bezpieczeństwa... (Dalekowie używali ludzi w większości do prostych prac manualnych i sprawowania niższych funkcji administracyjnych.)

— Ludzie są zdradzieccy i niegodni zaufania — powiedział Czarny Dalek.

— Nie wszyscy — odparł Kontroler, dziwiąc się własnej śmiałości. — Ja służyłem wam lojalnie przez całe życie.

— Nie podważaj słów Daleków — odezwał się ponownie Żółty Dalek. — Wykonuj bez wahania wszystkie ich rozkazy. Polowanie na przestępców musi być prowadzone dalej. Wszyscy wrogowie Daleków zostaną zlikwidowani!

Kontroler westchnął. W gruncie rzeczy nie spodziewał się żadnych ustępstw. Uraczono go normalną w takich wypadkach propagandową papką. Ale nie stracił przynajmniej życia.

— Czy zakończyłeś już swój raport? — zapytał Czarny Dalek.

— Z jednym wyjątkiem. Wydaje się, że razem z partyzantami powrócił ze strefy dwudziestego wieku jakiś człowiek. Według

strażników to jest ten sam mężczyzna, o którym mówiła dziewczyna. Nazywała go doktorem.

Kontroler odwrócił się do wyjścia.

— Stój! — zazgrzytał podniesionym prawie do krzyku głosem Czarny Dalek. — Dok-tor? Powiedziałaś dok-tor?

Kontrolera zdumiała gwałtowność jego reakcji. Podzielone wyraźnie na dwie części słowo „dok-tor” było wymówione z jadowitą nienawiścią.

— Osobnik znany jako Dok-tor nie jest człowiekiem — oznajmił Żółty Dalek, wypowiadając słowo „doktor” z tą samą nieubłaganą zaciętością. — Jest głównym wrogiem Daleków. Musi zostać odnaleziony i zlikwidowany.

Teraz do chóru przyłączyli się inni Dalekowie. Kiedy Kontroler wychodził z sali, miał w uszach ich krzyk.

— Zlikwidować go! Zlikwidować! Zlikwidować!

Ale w ich głosach brzmiało również coś nowego, coś, czego Kontroler nie słyszał nigdy przedtem. Oddalając się korytarzem, zorientował się, co to jest. To był strach. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, Dalekowie czegoś się bali.

Doktor przemierzał ruiny już od wielu godzin, posuwając się wolno do przodu. Trudno było tu mówić o drogach, a nawet jeśli jakąś zobaczył, starał się jej unikać. Musiał stale uważać na patrole Ogronów, gotów w każdej chwili skryć się w gruzach albo w rowie. Przez kilkadziesiąt minut, które wydawały mu się wiecznością, leżał w piwnicy zburzonego domu, podczas gdy nad jego głową siedzieli Ogronowie, pożerając strawę ze swoich sakw i porozumiewając się ze sobą niskimi gardłowymi głosami. W końcu poszli sobie i mógł ruszyć dalej.

Po kilku godzinach dotarł do olbrzymich zabudowań, które

zobaczył zaraz po wydostaniu się z tunelu. Otaczał je wysoki kamienny mur, zakończony u góry ostrymi kolcami. Doktor nic mógł wiedzieć, że przed kilku dniami pokonał tę przeszkodę przywódca ruchu oporu o imieniu Moni. Szukając łatwiejszej drogi do środka, ostrożnie posuwał się wzdłuż ogrodzenia. Po kilku chwilach minął coś, co przypominało słup latarni. Jednak zamiast lampy na jego szczycie była zamontowana kamera. Pojawiając się w polu jej widzenia, Doktor nieświadomie zaktywizował czujnik. Kiedy ruszył dalej, obiektyw obrócił się w ślad za nim.

Na ekranie gdzieś wewnątrz budynku zaczął się przesuwać mały świetlny punkt, rejestrujący trasę, którą pokonywał Doktor.

— Ogłaszam alarm, ogłaszam alarm — powiedziała, pochylając się do mikrofonu, dziewczyna z działu technicznego. — Przy zewnętrznym murze pojawił się intruz. Jego wygląd odpowiada rysopisowi poszukiwanego osobnika, znanego jako Doktor.

— Pozwólcie mu wejść do środka, a potem otoczcie. Intruz musi być wzięty żywcem.

Rozkaz wydał sam Kontroler. Wiedział, że Dalekowie woleliby zapewne, aby Doktor został zabity na miejscu. Ale zależało mu na spotkaniu z człowiekiem, który potrafił zasiać strach w sercach Daleków. Nie był pewien, dlaczego tak robi. Wiedział tylko, że musi spotkać się i porozmawiać z Doktorem, zanim odda go do dyspozycji Daleków.

Tymczasem Doktor zauważył w murze małe drzwiczki i zaczął manipulować przy zamku swoim sonicznym śrubokrę-

tem. Wkrótce sforsował go, wślizgnął się do środka i znalazł się na pustym kamiennym dziedzińcu, przy którym stało kilka długich, podobnych do stodoły budynków. Wjeżdżały do nich, dudniąc głośno po torach, automatyczne wagoniki, wypełnione pokruszoną skałą — prawdopodobnie jakimś rodzajem rudy.

Doktor przedostał się przez dziedziniec i zajrzał do jednego z długich niskich budynków. Środkiem biegł taśmociąg, przy którym stali obdarci, wychudzeni robotnicy, sortujący rudę gołymi rękoma. Inni, zataczając się z wysiłku, kursowali z wypełnionymi skałą koszami między wagonikami a taśmociągiem. Posortowana ruda wyjeżdżała z budynku w innych wagonikach; odrzucone kamienie były przenoszone na inny taśmociąg, który wywoził je w nieznanym kierunku. Przy robotnikach stali z biczami w łapach Ogronowie. Był także człowiek, który, jak można było się domyślić, kierował sortowaniem.

Doktor przyglądał się całej scenie z przerażeniem i oburzeniem. Minerale przybywały, były oczyszczane z kamieni i wywożone na zewnątrz. Cały proces miał ciągły charakter i mógł być w całości powierzony automatom. Prawdopodobnie Dalekowie uznali, że taniej i prościej będzie posłużyć się siłą ludzką, pomyślał z gniewem.

Nagle jeden z robotników, chudy starzec, zachwiał się i wypuścił kosz z rąk. Bicz dozoruującego produkcję człowieka natychmiast smagnął go po ramionach. Doktor po prostu nie był w stanie się powstrzymać. Wyskoczył z ukrycia, a w następnej sekundzie strażnik przeleciał kilka metrów w powietrzu, po czym wylądował z głuchym odgłosem w jednym z wagoników. Zdumieni robotnicy przestali pracować. Ogronowie wyciągnęli miotacze.

— Nie! — odezwał się nagle czyjś głos. Należał do główne go nadzorcy, który trzęsąc się wygramolił z wagonika. — Rozkaz brzmiał — wziąć go żywcem. Ale nie musicie się z nim cackać!

Dwóch Ogronów zbliżyło się do Doktora. Uchylił się, nie dając się złapać pierwszemu; ten zatoczył się i wpadł na swego towarzysza. Obie bestie upadły, a Doktor ruszył sprintem w stronę drzwi. Nie udało mu się jednak umknąć przed dwoma stojącymi przy nich kolejnymi olbrzymami. W ciągu kilku minut został pobity do nieprzytomności. Ogronowie wyciągnęli go z budynku.

— Jeśli nie chcecie, aby spotkało was to samo, zabierajcie się szybko do roboty! — zawołał główny nadzorca. Robotnicy pośpiesznie przystąpili z powrotem do sortowania rudy. Za ich plecami stali z podniesionymi biczami Ogronowie.

Moni przecisnął się między gruzami i zbiegł na dół po schodach. Spotykając się ze spiskowcami w dzień wiele ryzykował, ale wymagała tego sytuacja. Z tego, co wiedział, ta kryjówka była wciąż bezpieczna. Pod warunkiem, że Anat i jej kolegom udało się uciec...

Zapukał w umówiony sposób i z ulgą stwierdził, że drzwi się otwierają. W środku stał blady i zmęczony Boaz, a za jego plecami Anat. Moni omiótł szybkim spojrzeniem piwnicę.

— Gdzie Shura? — zapytał.

— Straciliśmy go — odparła Anat. — Poszedł skontaktować się z dowództwem i nie wrócił. Musieli go dopaść.

— O mały włos dopadliby i nas — oznajmił gniewnym głosem Boaz.

Moni wysłuchał w milczeniu ich relacji.

— W Centralnym Ośrodku Kontrolnym jest przetrzymy wa-

na dziewczyna — powiedział w końcu. — To musi być jedna z tych osób, o których mówicie. Czy może im o wszystkim powiedzieć?





— Dziewczyna wie, że chcieliśmy zabić Styleasa — powie  
działa Anat. — Może ich o tym poinformować.

Moni westchnął. Wszystko szło w złym kierunku. Misja od  
samego początku waliła się w gruzy.

— Czy wiesz coś o mężczyźnie, który wrócił razem z na mi?  
— zapytała Anat. — Czy już go złapali?

Moni potrząsnął głową.

— Jeszcze nie. Ale to tylko kwestia czasu.



Jo Grant odsunęła od siebie talerz i westchnęła z przyjemnością.

— Dziękuję, proszę mi nie dokładać — powiedziała. — Nie przełknęłabym już ani kęsa.

Kontroler pochylił się ku niej z butelką wina.

— Może pani dolać?

— Nie, naprawdę, dziękuję. Jedzenie było wspaniałe.

W rzeczywistości, pomyślała, wcale nie były to takie frykasy: czerstwy chleb, łykowane mięso i mieszanka dziwnych jarzyn. Nie sądziła też, by Doktor zachwycił się tym winem.

— Cieszę się, że pani smakowało — powiedział Kontroler. — Niewielu ludzi spożywa tak luksusowe posiłki w naszych czasach.

Dziwne pojęcie luksusu, przeszło przez głowę Jo. Uśmiechnęła się jednak i zachowała milczenie.

— Dzisiaj — kontynuował Kontroler — musimy uzyskiwać większość składników odżywczych z pastylek i tabletek. — Odchylił się do tyłu w fotelu i uśmiechnął. — Proszę opowiedzieć mi coś jeszcze o pani przyjacielu Doktorze.

— Nie wydaje mi się, żebym mogła panu opowiedzieć coś więcej — odparła szczerze Jo. — Nie kryłam przed panem niczego. — W istocie opowiedziała mu wszystko, co wiedziała. Kontroler wydawał się wprost zafascynowany Doktorem i zadawał na jego temat pytanie za pytaniem.

— Naprawdę nie wie pani, co robił przed wstąpieniem do

brytyjskiej sekcji UNIT? — zapytał.

— Nie mam pojęcia — odparła zdecydowanie Jo. — Nikt nie wie zbyt wiele na jego temat, to naprawdę tajemnicza postać. Proszę nie myśleć, że jestem niewdzięczna — dodała pośpiesznie — ale wspomniał pan coś o uratowaniu Doktora i przeniesieniu mnie z powrotem do mojego własnego czasu.

— To nie jest takie łatwe — odparł Kontroler. — Nasi naukowcy starają się rozwiązać ten problem. Jeśli chodzi o pani przyjaciela Doktora — dodał po chwili — jest pewna rzecz, o której pani nie powiedziałem. Zachodzi poważne podejrzenie, że przeniósł się w ślad za panią do naszej strefy czasowej.

Jo nie posiadała się z radości.

— To wspaniale. Wie pan, gdzie on jest?

— Obawiam się, że nie. Podróżował w czasie razem z terrorystami. Wygląda na to, że go porwali. Prowadzimy w tej chwili intensywne poszukiwania.

Nagle do pokoju weszła dziewczyna i skłoniwszy głowę, podała Kontrolerowi notatkę. Ten dał jej znak, że może odejść. Kiedy zamknęły się za nią drzwi, odczytał wiadomość i uśmiechnął się do Jo.

— Dobre wieści, panno Grant. Pani przyjaciel, Doktor, został odnaleziony. Zaraz go tu przyprowadzę.

Jo zerwała się na nogi.

— Czy mogę iść razem z panem?

Kontroler potrząsnął głową.

<sup>80</sup> To niemożliwe. Ale proszę się nie przejmować. Zapewniam panią, że jest zdrowy i bezpieczny.

W tym właśnie momencie Doktor znajdował się w metalowej celi, nie czując się w najmniejszym stopniu bezpieczny ani zdrowy. Właśnie zakończyło się długie i brutalne przesłucha-

nie, które miało go zmusić do przyznania, że współpracuje z ruchem oporu. Strażnik miał nadzieję zaimponować swoim panom, wyciągając z więźnia zeznanie jeszcze przed ich nadejściem. Jednak ten mimo brutalnego traktowania nie okazał się bynajmniej chętny do współpracy.

— Powiedz, kim jesteś! — wrzasnął ponownie strażnik.

— Nigdy byś mi nie uwierzył — odparł znużonym głosem Doktor.

— Podaj, z kim kontaktujesz się w przestępczym ruchu oporu!

— Z nikim się nie kontaktuję.

— Co tutaj robisz?

— Szukam dziewczyny o nazwisku Jo Grant. Ile razy mam to powtarzać?

— Tyle, ile zajmie mi wyciągnięcie od ciebie prawdy. Czy mam cię przekazać w ręce obecnych tu naszych przyjaciół? Bardzo się nudzą. — Strażnik wskazał wzrokiem dwóch Ogrodnów, którzy przytrzymywali Doktora na krześle, zaciskając z całej siły owłosione łapska na jego ramionach.

— Biedactwa, to bardzo smutne... ale nie jestem akurat w nastroju do zabawy.

Drzwi celi otworzyły się nagle i do środka wszedł mały pulchny człowieczek. Miał na sobie proste ciemne ubranie, o bardziej cywilnym niż wojskowym charakterze.

— Jakież postępy? — zapytał. 81

— Nie chce nic zeznać — odparł strażnik.

— To bardzo nierozsądnie z jego strony. Może ja zdołam go przekonać. Możecie zaczekać na zewnątrz.

Przez chwilę wydawało się, że strażnik ma zamiar się sprzeciwić.

— Na zewnątrz! — powtórzył z naciskiem nowo przybyły. Na dany przez strażnika znak Ogronowie puścili Doktora i wymaszerowali z celi. Doktor rozprostował obolałe ramiona. Zastanawiał się, co teraz nastąpi.

— Jestem komendantem tego obozu pracy i masz odpowiadać na wszystkie moje pytania — oznajmił surowo pulchny człowieczek. Kiedy jednak zamknęły się drzwi za Ogronami, natychmiast zmienił ton. — Do jakiej należysz grupy? — zapytał szeptem, pochylając się bliżej.

Doktor westchnął głośno.

— Znowu to samo. Właśnie mówiłem twoim owłosionym kolegom: nie należę do żadnej grupy.

— Nic nie rozumiesz — oznajmił rozgorączkowanym głosem komendant. — Ja sam należę do ruchu oporu. Chcę ci pomóc. Powiedz szybko, kto cię przysłał. Jakie powierzono ci zadanie?

— Nikt mnie nie przysłał — odparł ze złością Doktor. — Nie jestem żadnym szpiegiem ani partyzantem. Próbuję po prostu odnaleźć...

Ale mały człowieczek już go nie słuchał. Widząc, że drzwi celi otwierają się ponownie, złapał zdumionego Doktora za ramiona i próbował nim potrząsnąć.

— Jesteś szpiegiem! — zaczął krzyczeć. — Przyznaj, że jesteś szpiegiem!

Do celi wszedł wysoki mężczyzna.

<sup>82</sup> — Natychmiast przestań! A- polecił komendantowi. — Dla czego ten człowiek jest tak traktowany? Drogi Doktorze, proszę przyjąć moje najgorętsze przeprosiny. Jestem Kontrolerem tego sektora. Jest pan bardzo nieuchwytną osobą; kosztowało mnie wiele wysiłku, żeby pana odnaleźć.

Doktor poderwał się rażno na nogi.



— Cieszę się, że to się panu w końcu udało.

Zaczynał powoli wierzyć, że znalazł się w domu wariatów.

— Od dłuższego czasu marzę o tym, żeby się z panem spotkać — oznajmił Kontroler. — Panna Grant tyle mi o panu opowiadała.

— Jo Grant? — zapytał z ożywieniem Doktor.

— Jest bezpieczna i zdrowa. i pragnie jak najszybciej się z panem spotkać — poinformował go Kontroler.

— Masz natychmiast zaprowadzić Doktora do apartamentu gościnnego w Centralnym Ośrodku Kontrolnym — polecił strażnikowi.

— Odwiedzę pana później, Doktorze.

— Dziękuję — odparł po prostu Doktor, starając się jak najlepiej wejść w swoją nową rolę honorowego gościa.

— Może przejdziemy teraz do pańskiego gabinetu, komendancie? — zapytał Kontroler, kiedy za Doktorem zamknęły się drzwi.

— Oczywiście, panie Kontrolerze — odparł z szacunkiem pulchny człowieczek. — Tędy, proszę. Proszę mi wybaczyć, że pytam — powiedział, kiedy szli korytarzem — ale kim jest ten człowiek? Co sprawia, że jest taki ważny?

— To nie powinno pana obchodzić — odparł Kontroler, wchodząc do gabinetu komendanta. — Niech pan się raczej zainteresuje spadkiem produkcji, w obozie. Robi się pan zbyt miękki. Od następnego miesiąca normy zostaną podniesione o dziesięć procent.

— To niemożliwe, panie Kontrolerze. Nie mogę tego zrobić!

— Czy mam zastąpić pana kimś, kto może? — zapytał odowatym tonem Kontroler.

— Przepraszam. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

— Tak już lepiej. Uznajmy to za przyjacielskie ostrzeżenie.

— Jest pan bardzo uprzejmy.

Kontroler skinął na pożegnanie głową i wyszedł z gabinetu. Komendant przez chwilę stał przy oknie, przyglądając się obozowi pracy, a potem otworzył kluczem szufladę biurka i wyjął z niej małe urządzenie nadawczo-odbiorcze.

— ZV1Ó do Orła, czy mnie słyszysz? — zapytał cicho.

— Tu Orzeł, tu Orzeł — odezwał się natychmiast przebijający się przez szumy i trzaski głos. — Słyszę cię dobrze. Podaj wiadomość. (Pod kryptonimem Orzeł działał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę awaryjny kanał ruchu oporu.)

— Mam mało czasu — powiedział komendant. — Chyba mnie podejrzewają. Dzisiaj na terenie obozu został ujęty mężczyzna. Przybył po niego sam Kontroler. Nie wiem, kim jest, ale to ktoś ważny.

— Wiesz dlaczego?

— Nie. Sprawdźcie u swego informatora w Centralnym Ośrodku. Zapytajcie go, dlaczego...

Komendant przerwał nagle. Drzwi jego gabinetu otworzyły się na oścież i stanął w nich Ogron, a za jego plecami ludzki strażnik. Nie było czasu, by ukryć urządzenie nadawczo-odbiorcze.

— ZV1Ó, tu Orzeł. Czy mnie słyszysz? — odezwał się z głosem metaliczny głos. Komendant z rozmysłem roztrzaskał urządzenie o podłogę i czekał, aż dosięgną go włochate łapska Ogronów...

Po radosnym powitaniu, które odbyło się w gościnnym apartamencie Centralnego Ośrodka Kontrolnego, Doktor wysłuchał z dość poważnymi wątpliwościami relacji Jo o tym, jak

żyje się w dwudziestym drugim wieku.

— Naprawdę, Doktorze, nie jest tak źle. Całkiem mi się tu podoba. Wszyscy są tacy uprzejmi w przeciwieństwie do tych nieokrzesanych partyzantów.

Doktor potarł podbródek.

— Cieszę się, że byłaś dobrze traktowana. Zapewniam cię jednak, że spotkałem tutaj dziś ludzi, którzy wcale nie byli tacy uprzejmi.

Jego uwagę usłyszał Kontroler, który właśnie wszedł do pokoju.

— Bądźmy szczerzy, Doktorze. To był godny pożałowania błąd, który starałem się jak najszybciej naprawić. Proszę, niech pan nie wyciąga na jego podstawie pochopnych wniosków.

Doktor zachowywał się z wyraźną rezerwą.

— Bo w przeciwnym razie znów usłyszę świst bata? Niech mi pan powie, czy w ten sposób prowadzicie wszystkie swoje zakłady produkcyjne?

Kontroler uśmiechnął się.

— To nie jest normalna fabryka, Doktorze. To ośrodek reedukacyjny dla wyjątkowo zatwardziałych przestępców.

Na Doktorze nie wywarło to większego wrażenia.

— Wśród których tyle jest starych mężczyzn i kobiet?

— Mogę pana zapewnić — powiedział Kontroler — że życie na tej planecie nigdy nie było zorganizowane lepiej i skuteczniej pod względem ekonomicznym. Ludziom nigdy nie żyło się szczęśliwiej i dostatniej.

— W takim razie dlaczego potrzebujecie aż tylu strażników?  
— zapytał ostrym tonem Doktor. — Czy ludzie nie cieszą się swoim szczęściem i dobrobytem?

Jo Grant przysłuchiwała się rozmowie z rosnącą konsternacją.

— Jest pan trochę niesprawiedliwy, Doktorze — odezwała się z wymówką w głosie. — Kontroler chce nam przecież pomóc.

— Czyżby? — zaproponował Doktor. — Zastanawiam się dlaczego. Zdumiewa mnie fakt — dodał, zwracając się do Kontrolera — że z paroma nielicznymi wyjątkami warunki życia ludności tej planety są gorsze niż zwierząt. Zaczynam się zastanawiać, kto w rzeczywistości rządzi tą waszą Utopią.

Jo nigdy przedtem nie widziała Doktora tak zdenerwowanego. Kontroler aż skręcał się na dźwięk jego głosu.

— Obawiam się, że teraz będę musiał was opuścić — wyjąkał w końcu. — Mam dużo pracy. Pani wybaczy, panno Grant — powiedział i prawie wybiegł z pokoju.

Jo posłała za nim zatroskane spojrzenie.

— Nie powinien pan mówić do niego w ten sposób, Doktorze. Nie ma pan pełnego obrazu.

— Podobnie jak ty, Jo. Czy nie widzisz, że Ziemia stała się planetą niewolników? Ten człowiek nie jest nikim więcej jak obozowym kapo. Ludzie nie rządzą już swoją planetą.

Jo była zupełnie wytrącona z równowagi.

— W takim razie kto nią rządzi? — zapytała.

— Najbardziej nikczemne i bezwzględne we wszechświecie istoty: Dalekowie! — odparł Doktor. — Teraz wysłuchaj uważnie tego, co ci powiem.

Opowiedział w skrócie, jaki według niego jest stan rzeczy w dwudziestym drugim stuleciu.

— W takim razie dlaczego ten człowiek jest wobec nas taki miły? — zapytała przerażona Jo.

— Chce wydobyć od nas informacje. To stara technika. Najpierw spróbowali ostrych metod, potem łagodnych. Nie myślę czekać, aż odwołają się z powrotem do tych pierwszych.

— Podobnie jak ja — stwierdziła Jo, drżąc z przejęcia.

— Umyślnie oddałem się w ich ręce — powiedział Doktor. — Miałem nadzieję, że umieszczą nas w tym samym miejscu. Ale teraz, kiedy cię odnalazłem, musimy się stąd czym prędzej wydostać.

— Na korytarzu stoi strażnik — powiedziała Jo, ścisząc głos.

— Nie martw się, potrafię sobie z nim poradzić.

Kontroler sadił długimi krokami w stronę kwatery głównej. W uszach wciąż brzmiały mu pogardliwe słowa Doktora. Próbował pomóc temu człowiekowi, próbował potraktować go przyzwoicie. Teraz mogą się nim zająć Dalekowie. Mieli świętą rację, pobłażanie takim przestępcom jest zwykłą stratą czasu, myślał, próbując oddalić od siebie wspomnienie oskarżającego głosu Doktora. Na próżno jednak. W głębi serca wiedział, że wszystko, co od niego usłyszał, jest prawdą.

Jo Grant stanęła pośrodku pokoju i zaczęła krzyczeć, jak mogła najgłośniejsz. — Na pomoc! Na pomoc! Proszę, pomóżcie mi!

Sprawujący straż za drzwiami Ogron wpadł, człapiąc ciężko, do środka i spojrzał podejrzliwie. Widział tylko podskakującą w miejscu i wydzierającą się na całe gardło drobną dziewczynę. Nie wyciągając z kabury miotacza, wpatrywał się zdumiony w Jo, która nie przestawała wzywać pomocy.

Tymczasem Doktor wysunął się bezszelestnie zza drzwi i zadał Ogronowi jeden ze swoich słynnych wenusjańskich cio-

sów karate. Teoretycznie rzecz biorąc, bestia powinna osunąć się po nim na podłogę. Niestety nic takiego nie nastąpiło. System nerwowy Ogronów jest bardzo odporny na wstrząsy, a do tego znajduje się pod grubą warstwą niewiarygodnie twardych mięśni. Olbrzym odwrócił się powoli i zawarczał na Doktora tak, jakby ten nadepnął mu na odcisk.

— Haj! Haj! — zawołał trochę skonsternowany Doktor i zadał trzy kolejne piorunujące ciosy — lewą ręką, prawą ręką i lewą stopą. Chociaż powinny znokautować każdą żywą istotę we wszechświecie, jedynym ich rezultatem było to, że Ogron zdenerwował się jeszcze bardziej. Rycząc ze złości, dał krok do przodu, wyciągnął przed siebie wielkie owłosione łapska i zanim Doktor zdążył się uchylić, złapał go za gardło. Ściskany z całej siły Doktor osunął się powoli na kolana. Tracąc stopniowo świadomość pomyślał, że była to pożyteczna lekcja: nigdy nie powinno się lekceważyć przeciwnika. Niestety, wszystko wskazywało na to, że była to ostatnia lekcja, jaką otrzymał.

W tym momencie Jo Grant postanowiła wziąć sprawy we własne ręce. Skoczyła na stolik, złapała pełną butelkę, wina i trzasnęła nią z całej siły w czubek głowy Ogrona. Rezultat był dramatyczny i natychmiastowy: butelka roztrzaskała się na kawałki, a ociekający winem Ogron runął nieprzytomny na swą ofiarę.

Doktor wyczołgał się spod niego i przez chwilę masował gardło.

— Dziękuję ci, Jo — powiedział trochę chrapliwym głosem. Przypomniawszy sobie Ogrona, którego cisnął na ścianę w Austerly House. — Czubek głowy jest chyba jedynym ich słabym punktem — dodał, uśmiechając się do Jo. — Szkoda tylko wina. Chodź, powinniśmy się stąd jak najszybciej wynieść.

Wyślizgnęli się na metalowy korytarz i zamiast bieć, ruszyli przed siebie szybkim krokiem, tak jakby mieli absolutne prawo zmierzać tam, dokąd zmierzają. Mijani przez nich ludzie zupełnie ich ignorowali. W tej epoce najbezpieczniej było pilnować własnego nosa.

Na korytarzu zabrzączał głośno dzwonek; Jo spojrzała z trwogą na Doktora, ten jednak potrząsnął głową, dając jej do zrozumienia, że nie ma powodu do niepokoju. Po kilku chwilach korytarz wypełnił się ludźmi, którzy podążali wszyscy w tym samym kierunku. Jo i Doktor ruszyli razem z nimi.

Zgubieni w tłumie wślizgnęli się do obszernej windy i po długiej jeździe w dół znaleźli się w szerokim holu wejściowym. Przez wielkie drzwi zaglądało do środka światło dnia.

Panował tu wielki ścisk. Jo i Doktor ruszyli wraz z innymi w stronę wyjścia. Równie wielka gromada ludzi próbowała dostać się do środka z drugiej strony.

— To zmiana szczyty — wyjaśnił szeptem Doktor.

Przy drzwiach pełnili wartę Ogronowie, ale zajmowali się wyłącznie popędzaniem ciżby gardłowymi okrzykami i smagnieniami biczem. Traktowali tłum jako jednorodną masę i odmienne zachowanie i ubranie dwójki uciekinierów najwyraźniej uszły ich uwagi.

W kwaterze głównej Kontroler poinformował Czarnego Daleka o ujęciu Doktora i czekał na dalsze rozkazy. Żywił skrytą nadzieję, że tym razem doczeka się nareszcie pochwały.

— Podany przez ciebie rysopis Doktora nie zgadza się z naszymi danymi — zazgrzytał po krótkiej chwili Dalek. — Opisz jeszcze raz zatrzymanego osobnika.

Zdumiony Kontroler ponownie określił go jako wysokiego,

szczupłego mężczyznę z grzywą białych włosów.

— Czyżby to był ktoś inny? — zapytał.

— Zgromadzone dowody wskazują, że Dok-tor zmienił swój wygląd — stwierdził Czarny Dalek. — Włącz natychmiast podgląd z kamery w pokoju podejrzanego — zwrócił się do dyżurującego przy konsoli Daleka.

— Tak jest — odparł tamten.

Dotknął przycisku i ekran monitora rozjaśnił się, ukazując pokój gościnny. Oprócz dźwigającego się niezdarnie na kolana Ogrona nie było w nim nikogo...

Dyżurny zupełnie osłupiał.

— Alarm! Alarm! — zaskrzypiał Czarny Dalek. — Dok- -tor uciekł! Włączyć alarm dźwiękowy!

Dalek przy konsoli włączył kolejny przycisk i w całym gmachu rozległo się przeraźliwe brzęczenie.

— Dok-tor uciekł! — zaskrzypiał do mikrofonu dyżurny. — Zawiadomić wszystkie jednostki sił bezpieczeństwa. Uciekinier musi być odnaleziony i zlikwidowany!

— Nie! — przerwał mu Czarny Dalek. — Musimy go mieć żywego. Podłączymy go do analizatora mózgu, żeby sprawdzić, czy to na pewno Dok-tor.

Kontroler poczuł, jak przechodzi go nagły dreszcz. Widział aresztowanych partyzantów, którzy zostali poddani działaniu analizatora mózgu, powłóczących nogami idiotów, z których wyssana została cała inteligencja. Od czegoś takiego lepsza była chyba śmierć.

— Odwołuję poprzednią instrukcję — powiedział do mikrofonu dyżurny. — Dok-tor i dziewczyna mają być wzięci żywym i przekazani na oddział analizatora mózgu.



Jo i Doktor przecięli na ukos szeroki zatłoczony dziedziniec. Po jego drugiej stronie znajdowały się długie baraki, przed którymi tłoczyli się w długich kolejkach ludzie, czekający na swoją miskę nieapetycznej szarej zupy. Dziedziniec zamykała olbrzymia brama, przez której pręty zobaczyli znajomy widok ciągnących się aż po horyzont ruin.

Skrzydła bramy były lekko uchylone; pełnili przy nich wartę Ogronowie. W przeciwieństwie jednak do tych, którzy stali przy drzwiach budynku, ci sprawdzali uważnie wszystkich wchodzących i wychodzących, żądając przepustek i legitymacji. Jo uświadomiła sobie, że wyjście z budynku było dziecinnie łatwe w porównaniu z wydostaniem się poza teren całego kompleksu. W którą stronę mieli się skierować? Nigdy nie uda im się sforsować tej bramy. Nie było również sensu wracać do budynku. Prędzej lub później ktoś zwróci na nich uwagę i zacznie zadawać pytania.

— Spójrz, Jo — powiedział Doktor, wskazując głową główną bramę. Po gruzach podązał w jej stronę niezwykle pojazd: coś w rodzaju gigantycznego trójkołowca, zaopatrzonego w wielkie balonowe opony, które pozwalały mu sunąć po rumowisku z podobną łatwością, jakby poruszał się po wyasfaltowanej drodze.

Trójkołowiec wjechał na teren obozu. Prowadzący go Ogron zaparkował swój pojazd niedaleko bramy, zeskoczył z siodełka i począł po schodach, niosąc jakąś przesyłkę.

Doktor przyjrzał się uważnie trójkołowcowi.

— Interesujący wehikuł — mruknął pod nosem. — Zwłaszcza jeśli ktoś chce podróżować po tej kupie gruzu.

Jo podniosła wzrok; zaniepokoiły ją błyskające w oczach Doktora ogniki.

— Chyba nie zamierza pan... — zaczęła ostrzegawczo.

Nagle w powietrzu rozległ się przeraźliwy odgłos alarmu.

— Chodź, Jo — zawołał Doktor. — To chyba z naszego powodu.

Ciągnąc za sobą Jo, przebiegł przez dziedziniec w stronę zaparkowanego trójkołowca i wskoczył na siodełko. Jo przypnęła tuż za nim. Zaznajomienie się z prostymi przyrządami zajęło Doktorowi tylko chwilę. Pojazd ruszył z rykiem silnika do przodu i minawszy osłupiałych strażników przy bramie, pognął przez morze gruzu.

Jo przywarła ciasno do pleców Doktora. Praktycznie nic nie stanowiło przeszkody dla ich pojazdu; pędzili z dużą szybkością po gruzach budynków, betonowych drogach, a raz nawet po porośniętym chwastami i zaroślami ugorze.

Wszędzie, dookoła otaczały ich ruiny i zgliszcza; krajobraz urozmaicały jedynie widniejące tu i tam na horyzoncie wysokie budowle Daleków. Doktor wjechał na szczyt niewielkiego pagórka i rozejrzał się dookoła. Trzy albo cztery prowadzone przez Ogronów wielkie trójkołowce pędziły za nimi od strony kompleksu, który właśnie opuścili.

— Nie możemy im uciec? — zapytała Jo. — Mamy nad nimi dużą przewagę.

— Mogłoby nam to się udać — stwierdził Doktor. — Ale co powiesz o tych... i o tych? — zapytał, wskazując stojące przed nimi kompleksy. Z każdego z nich pędziło w ich stronę po kilka pojazdów.

— Jesteśmy okrążeni — zawołała przerażona Jo. — Co teraz zrobimy?

— Zostaje nam tylko jedno — stwierdził wesoło Doktor. — Nie sprzedamy po prostu tanio naszej skóry. Zastana



wiałaś się kiedyś, co czuje lis podczas polowania, Jo? Trzymaj się mocno!

Jo zamknęła oczy i przywarła do Doktora tak mocno, jak potrafiła. Reszta podróży była prawdziwym koszmarem. Co jakiś czas otwierała oczy tylko po to, żeby je za chwilę pośpiesznie zamknąć. Klucząc między ruinami, Doktor wyprawiał z trójkołowcem niewiarygodne rzeczy. Jo mogła przysiąc, że w pewnej chwili wjechali pionowo po ścianie domu i zjechali na dół z drugiej strony. Jeździli po szczytach murów, przeskakiwali nad dziurami i brodzili po zatkanych chwastami kanałach odpływowych. Ale za każdym razem kiedy Jo otwierała oczy, coraz bliżej zaciskał się wokół nich pierścień pogoni.

W ostatecznej desperackiej próbie przełamania kordonu Doktor zjechał prosto ze szczytu małego urwiska. Trójkołowiec zawisł przez sekundę w powietrzu i Jo krzyknęła głośno ze strachu. Po chwili wylądowali na dole, odbili się w górę i wpadli prosto w stertę połamanych desek. Silnik pojazdu zagrzytał i umilkł.

— Otwórz oczy, Jo — powiedział Doktor. — Zabawa skończona.

Jo rozejrzała się dookoła. Ich trójkołowiec miał wygiętą kierownicę i ugrzązł w stercie drewna zbyt głęboko, żeby się wycofać. Ze wszystkich stron otaczały ich wykrzywione wściekłością pyski Ogronów, trzymających w pogotowiu miotacze.

Doktor westchnął cicho.

— Było wesoło, póki się nie skończyło — powiedział.



## 10

### *Przesłuchanie przez Daleków*

— Uratować go? Dlaczego mielibyśmy ryzykować życie, żeby uratować Doktora? — zapytał Boaz, wbijając pełen nie dowierzania wzrok w Moniego.

Znajdowali się w podziemnej kryjówce ruchu oporu.

— Powtarzam wam, że musimy — powtórzył cichym, stanowczym głosem Moni.

— Ale dlaczego?

— Informując nas o uwięzieniu Doktora, komendant obozu zaznaczył, że jest on z jakiegoś powodu bardzo ważny dla Daleków. — Moni na chwilę przerwał. — Nie zdążył powiedzieć nam nic więcej. Musieli zdemaskować go zaraz potem. Został stracony dziś rano.

Anat westchnęła. Pulchny, wiecznie przestraszony człowieczek był jej starym przyjacielem i dzięki zajmowanemu stanowisku jednym z ich najlepszych agentów. Ale od dawna przyzwyczaiła się do takich wiadomości.

<sup>90</sup>— Mów dalej — powiedziała.

— Skontaktowałem się z naszą informatorką w Centralnym Ośrodku Kontrolnym — podjął Moni. — Wchodzi w skład osobistego personelu Kontrolera.

— I co ci takiego powiedziała? — zapytał Boaz. — Co sprawia, że ten człowiek jest taki ważny?

— Wszystko wskazuje na to, że Doktor jest zaprzysięgłym wrogiem Daleków. Walczył i pokonał ich już w przeszłości.

— Wspomniał, że miał z nimi do czynienia już przedtem —  
mruknęła Anat.

— Według naszej informatorki Doktor jest jedyną istotą, której Dalekowie się boją. Nie widzicie, jak ważną osobą może być dla nas? Musi mieć na ich temat mnóstwo użytecznych informacji. Jeśli ktokolwiek jest w stanie nam pomóc, to tym kimś jest właśnie on.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — zapytała Anat. — Nie ma powodu, żeby być nam wdzięczny. O mało go nie zabiliśmy.

— To było godne pożałowania nieporozumienie. Kiedy go uratujemy, będzie nam coś winien. A jeśli nienawidzi Daleków tak samo mocno jak my, będzie zmuszony stanąć po naszej stronie.

Boaz nie pozbył się najwyraźniej wszystkich wątpliwości.

— Atak na Centralny Ośrodek to samobójstwo — stwierdził. — Nawet jeśli nam się uda, wielu zginie w tej akcji.

— Ale ich śmierć nie pójdzie na marne — powiedział z naciskiem Moni. — Potrzebuję was dwojga, bo widzieliście Doktora na własne oczy. Czy się zgadzacie?

W samym sercu kwatery głównej Daleków Kontroler przyglądał się beznamiętnym wzrokiem Ogronom, którzy przywiązywali Doktora do długiego stołu.

Trzy ściany pomieszczenia wypełniała obco wyglądająca dziwaczna aparatura. Dalekańscy naukowcy wpatrywali się w monitory kontrolne. Całą czwartą ścianę zajmował olbrzymi ekran.

Kiedy Doktor został całkowicie unieruchomiony, Ogronowie założyli mu na głowę srebrzysty hełm. Wystające z niego przewody prowadziły do aparatury obok ekranu. Kiedy wszystko było gotowe, Ogronowie się cofnęli. Na dany przez Czarnego Daleka znak dalekański naukowiec dotknął kilku przycisków-



Ekran rozjaśnił się, ale widać na nim było tylko rozmazaną, wirującą mżawkę.

— Podejrzany z premedytacją tłumi własne myśli — oświadczył naukowiec.

— Zwiększ moc — polecił Czarny Dalek. Szum aparatury stał się jeszcze głośniejszy. Na ekranie nadal widać było tylko wirujące obłoki.

— Podaj swoją tożsamość — powiedział Czarny Dalek. — Powiedz, kim jesteś.



Naukowiec ponownie zwiększył moc i na ekranie zaczęła się pojawiać twarz starego mężczyzny o ostrych, ściągniętych w grymasie niezadowolenia rysach.

— To twarz Dok-tora, takiego, jakiego znamy ze Skaro — stwierdził z triumfem w głosie Czarny Dalek.

Kontroler widział, jak rysy Doktora wykrzywają się z wysiłku; za wszelką cenę starał się stawiać duchowy opór. Na próżno jednak. Pierwsza twarz powoli zniknęła i na jej miejscu pojawiła się następna. Na ekranie ukazał się młodszy czarnowłosy mężczyzna o wesołej, raczej komicznej fizjonomii.

— To także jest Dok-tor — zapał z radości Czarny Dalek. — Jesteś Dok-torem. Jesteś wrogiem Daleków. Znajdujesz się teraz w naszej mocy. Zostaniesz zlikwidowany! Zlikwido wany! Zlikwidowany!

Wszyscy obecni w pomieszczeniu Dalekowie wycelowali miotacze w bezbronne ciało Doktora.



# 11

## *Atak na siedzibę Daleków*

Czarny Dalek i jego współziomkowie zbliżyli się do stołu, na którym leżał Doktor. Ich miotacze były wymierzone prosto w jego głowę. Nie ulegało kwestii, że nadeszła ostatnia chwila.

— Zatrzymajcie się! — krzyknął nagle Kontroler, dając krok do przodu. Dalekowie obrócili się w jego stronę.

— Milcz! — zazgrzytał Czarny Dalek.

— Zabicie go już teraz będzie poważnym błędem — oznajmił stanowczym tonem Kontroler. — Nie rozumiecie tego? Może wam udzielić wartościowej pomocy.

— Dok-tor jest wrogiem Daleków. W jaki sposób mógłby nam pomóc?

— Wiemy, że kontaktował się z buntownikami. Nie rozumiecie tego? To on może być mózgiem, który stoi za ich działalnością.

Czarny Dalek przez chwilę się zastanawiał.

— Jaki masz na to dowód?

— Wiemy, że z nimi współpracował — powiedział szybko Kontroler. — W jakim innym celu miałyby się włamywać do obozu? Na pewno chciał skontaktować się z komendantem, który zajmował ważną pozycję w ruchu oporu i który właśnie został stracony. Dlaczego ryzykował? Być może ruch oporu planuje na nas jakiś nowy atak.

Czarny Dalek obrócił się w stronę dalekańskiego naukowca.

— Kontynuuj badanie przy użyciu analizatora mózgu. Za raz

wyciągniemy z niego całą prawdę.

Kontroler wskazał ręką nieprzytomnego, bezwładnego Doktora.

— Spójrzcie na niego. O mało nie pozbawiliście go życia tylko po to, żeby ustalić jego tożsamość. Umrze, zanim zdąży powiedzieć wam coś więcej.

Czarny Dalek ponownie przez chwilę się zastanawiał.

— Jaki masz plan? — zapytał.

— Pozwólcie, żebym to ja go przesłuchał.

— Dlaczego miałbyś osiągnąć lepsze rezultaty od Daleków?

— Rozumiem, w jaki sposób pracuje jego umysł. Mogę zdobyć jego zaufanie. Szantażować go przy pomocy dziewczyny.

Na krótki moment zapadła cisza.

— Kiedy skończę go przesłuchiwać — dodał Kontroler, starając się kuć żelazo, póki gorące — będziemy mieli dość informacji, żeby rozbić całe podziemie.

— Uwolnijcie go — powiedział Czarny Dalek, zwracając się do Ogronów.

Strażnicy odwiązali Doktora i postawili go na nogi. Ruch wydawał się przywracać mu życie. Powoli otworzył oczy i potoczył wzrokiem po otaczających go Dalekach.

Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała determinacja.

— Pokonałem was już wcześniej. Pokonałem was na Skaro. Pokonałem was również tutaj na Ziemi.

— Dalekowie odkryli tajemnicę podróży w czasie — odparł z triumfem w głosie Czarny Dalek. — Zaatakowaliśmy ponownie. Zmieniliśmy bieg ziemskiej historii.

— Wiecie, że wam się to nie uda — stwierdził z uporem Doktor. — W ostatecznym rachunku i tak poniesiecie klęskę.

— To ty poniosłeś klęskę, Doktorze! Imperium Daleków rozszerzy się na wszystkie planety i wszystkie epoki. Nikt nie zdoła się przeciwstawić mocy Daleków!

Wywleczonemu z sali Doktorowi długo jeszcze dzwoniły w uszach triumfalne okrzyki wrogów.

W podziemnej kryjówce panował ożywiony ruch. Czyszczono i składano broń, przygotowywano bomby. Partyzanci szykowali się do ataku na siedzibę Daleków.





Boaz rozejrzał się po piwnicy. Dziwnie było oglądać nowe twarze w miejscu, gdzie przez tak długi okres przebywali tylko z Anat i Shurą. Do wzmocnienia ich oddziału oddelegowano kolejną trzyosobową komórkę partyzantów.

Jej przywódcą był Mark, niski, barczysty mężczyzna z rękoma pokiereszowanymi po latach pracy w kopalniach Daleków. Podobno uciekł stamtąd, zadusiwszy przedtem pełniącego straż Ogrona. Patrząc na szerokie, szorstkie dłonie składające dez-integrator, Boaz był w stanie w to uwierzyć.

Kolejnym przybyszem był Zando, młody rudowłosy chłopak o okrągłej twarzy, na której malował się wyraz łagodnej niewinności. Wydawał się zbyt młody i nieśmiały na partyzanta i ten wygląd nieraz już uratował mu życie.

Trzecim przybyszem był Joab, nieśmiały cichy mężczyzna, ekspert od materiałów wybuchowych. Boaz obserwował, jak odrywa z przyzmy dalekenium kolejne kawałki plastiku i lepi z nich kule wielkości ludzkiej pięści.

— Nie tak ostro — zaprotestował, kiedy Joab zaczął rolo wać kulki w dłoniach niczym kawałki ciasta. — Czy ta masa nie jest przypadkiem bardzo niestabilna? — zapytał.

Joab uśmiechnął się z lekka.

— Tylko kiedy trafi Daleka — odparł. W tej formie dalekenium eksplodowało jedynie przy zetknięciu z zewnętrznym pancierzem Daleka.

Boaz podszedł do Moniego i Anat, którzy pilnie studiowali mapę. Moni przyłączył się do ich grupy, aby zastąpić zaginionego Shurę. Miał poprowadzić całą ekspedycję.

Ustalający trasę ataku Moni i Anat wydawali się pogodni i pewni siebie. Boaz przyjrzał się pozostałym partyzantom. Ktoś mógłby odnieść wrażenie, że planujemy wyjazd na piknik, pomyślał z goryczą. Za parę godzin wielu z nas, a być może

nawet wszyscy pożegnamy się z tym światem.

1 po co ryzykujemy życie? Zęby uratować jakiegoś tajemniczego osobnika, który prawdopodobnie i tak odmówi nam pomocy.

I pomyśleć, że był naszym więźniem, przeszło mu przez głowę. Gdybyśmy wiedzieli, że jest taką ważną osobą, od razu byśmy go tutaj przyprowadzili.

Moni złożył mapę.

— W porządku, pora ruszyć — powiedział. — Wszyscy

gotowi? — W odpowiedzi usłyszał zgodny pomruk. — W takim razie idziemy. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Boaz zabrał swój sprzęt i wraz z partyzantami wyszedł z piwnicy. Lepiej, żebyś okazał się tego wart, Doktorze, pomyślał.

Kontroler obserwował ze zdumieniem błyskawiczną poprawę stanu zdrowia Doktora. Kiedy przywleczono go z powrotem do apartamentu gościnnego, wydawał się rozbity i skrajnie wyczerpany. Teraz, po skromnym, popitym winem posiłku i krótkim odpoczynku, powrócił prawie do swojej normalnej formy. Do tego stopnia, że nie zwracał większej uwagi na wysiłki Kontrolera, który usilnie starał się przekonać go o konieczności współpracy z Dalekami.

— Niech pan się zastanowi, mój drogi! — powtarzał Doktor lekko zniecierpliwiony. — Jakim cudem mogę zdradzić panu sekret, którego sam nie znam?

— Ale przecież kontaktował się pan z partyzantami — upierał się Kontroler.

— Nie z własnego wyboru — wtrąciła z oburzeniem Jo. — Mieli zamiar go zabić.

— Nie widzi pani, że staram się pomóc? — zaapelował do niej Kontroler. — Przed chwilą uratowałem mu życie.

— To prawda, mój stary, i jestem ci za to bardzo wdzięczny — przyznał Doktor — ale czy nie zrobiłeś tego przypadkiem tylko po to, żeby uzyskać ode mnie informacje i w ten sposób podlizać się Dalekom?

Kontroler nie odpowiedział. W gruncie rzeczy sam nie był pewien, jakie kierowały nim motywy. W tym, co usłyszał, tkwiło z pewnością ziarno prawdy. Poza tym jednak myśl o

śmierci Doktora budziła w nim dziwną niechęć.

— Jeśli nie przekaże mi pan informacji na temat ruchu oporu — próbował dalej — nie poda nazwisk przywódców, lokalizacji ich kryjówek i planów na przyszłość, Dalekowie wykończą pana.

Doktor pociągnął kolejny łyk wina.

— Wcale w to nie wątpię — odparł chłodno.

Kontroler spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Tak mało ceni pan własne życie?

— Wprost przeciwnie. Cenię je sobie ogromnie. Ale Dalekowie będą próbowali mnie zabić niezależnie od tego, co panu powiem. Marzyli o tym od wielu lat.

— Ale jeśli będzie pan z nimi współpracować...

— Tak jak pan z nimi współpracuje? — zapytał Doktor, spoglądając na Kontrolera ze swego rodzaju współczuciem. — Naprawdę sądzi pan, że można współpracować z Dalekami?

— Są całkiem rozsądni — odparł, próbując się bronić, Kontroler. — Wysoko cenią sobie moje usługi.

— Tolerują pana — stwierdził Doktor. — Pozwalają panu żyć tak długo, jak długo jest pan dla nich użyteczny.

— Jestem wyższym urzędnikiem rządowym — odparł z gniewem Kontroler.

— Jest pan ich niewolnikiem — stwierdził otwarcie Doktor. — Niewolnikiem, który cieszy się kilkoma przywilejami w zamian za pomoc w prześladowaniu innych niewolników.

— Niech pan milczy! — zawołał Kontroler. Jo spostrzegła, że wprost trzęsie się z emocji.

Przez moment trwała cisza.

— Nic pan nie rozumie — odezwał się w końcu ochryplym głosem Kontroler. — Nie potrafi tego zrozumieć nikt, kto nie wie, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dwustu lat. Pod koniec

dwudziestego wieku jedna za drugą wybuchały siejące spustoszenia wojny. Przez długie lata ludzie niszczyli swoją planetę i zabijali się nawzajem. Wyginęło wtedy prawie siedem ósmych ziemskiej populacji. Ci, którzy ocalili, żyli przez dłuższy czas w wykopanych w ziemi jamach, głodując i prowadząc egzystencję niczym nie różniącą się od zwierzęcej. Cała planeta została obrócona w gruzy.

Jo i Doktor milczeli, przerażeni odmalowanym przez niego obrazem.

— I wtedy właśnie władzę objęli Dalekowie? — zapytała cichym głosem Jo.

— Nikt nie był w stanie im się przeciwstawić — odparł Kontroler.

— I cała Ziemia stała się gigantycznym zapleczem surowcowym — stwierdził Doktor. — Wszystkie bogactwa naturalne, wszystkie minerały są przewożone na Skaro.

— Ale dlaczego tego wszystkiego potrzebują? — zapytała Jo.

— Ponieważ imperium Daleków wciąż się rozrasta — odparł z ponurą miną Doktor. — Potrzebny jest im stały dopływ surowców. A Ziemia jest wyjątkowo bogata w minerały.

Kontroler pokiwał głową.

— Najsilniejsi pracują w kopalniach. Pozostali są zatrudniani w zakładach, które sortują i klasyfikują rudę, pomagając w ten sposób budować militarną potęgę Daleków. Tak jak pan mówi, wszyscy jesteśmy niewolnikami — powiedział, przecierając dłońmi oczy. Po raz pierwszy od wielu lat nie tylko dopuścił do siebie w myślach prawdę, ale wypowiedział ją na głos.

— Jak to się stało, że pan dla nich pracuje? — zapytał Doktor.

— Wszyscy muszą pracować dla Daleków — odparł Kon-

troler. — A to jest lepsze od pracy w kopalni lub fabryce.

— Naprawdę? — zapytał Doktor. — Naprawdę lepsze?

— Wykorzystuję swoje stanowisko, żeby chronić innych — próbował się bronić Kontroler. — Udało mi się uzyskać pewne koncesje, a nawet uratować kilka osób.

— Czy nie okazałby się pan bardziej pomocny, oddając swoje talenty ruchowi oporu i kierując walką przeciwko Da- lekom? — zapytał Doktor.

Kontroler westchnął.

— To beznadziejne — stwierdził. — Nikt nie potrafi ich pokonać.

— Partyzanci są całkiem odmiennego zdania.

— To tylko garstka fanatyków... których liczba zmniejsza się z dnia na dzień. Niech pan mi wierzy, nie są w stanie zrobić nic, co zmieniłoby naszą sytuację.

Na małym podwórku, przylegającym do siedziby Daleków, przesunęła się na bok żelazna kłapa. Z podziemi wynurzyli się partyzanci i rozejrzeli ostrożnie dookoła. Podwórko było wąskie i ciemne. Z jednej strony znajdowała się brama, przez którą można było się dostać na większy dziedziniec. Wznosząca się naprzeciwko rampa prowadziła do osadzonych w głównym budynku metalowych drzwi.

Moni wskazał je członkom grupy uderzeniowej.

— Tego wyjścia prawie nikt nie używa. Jeśli zarezerwowane wyłącznie dla Daleków. Drzwi są na pewno zamknięte.

— Wysadzimy je — stwierdził Joab, wyjmując ładunek wybuchowy.

— Pobiegniemy na górę, a potem korytarzem i jesteśmy na miejscu — powiedział Moni. — To wejście znajduje się najbli-

żej apartamentu gościnnego. Ze mną pójdzie Boaz i Anat... pozostali będą się starali utrzymać to podwórko. Musimy wrócić tą samą...

Moni nie skończył zaczętego zdania. Na podwórko wbiegł Ogron. Widząc partyzantów, sięgnął po broń, ale Zando podstawił mu nogę, a Mark trzasnął w czubek głowy kolbą miotacza.

— Dobra robota — stwierdził Moni.

Zando wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Mam w tym duże doświadczenie — odpowiedział. Anat i Moni pobiegł w stronę rampy. Sekundę później mogło się wydawać, że nad całą wyprawą zaciążyło fatum. Przez bramę wpadli z wyciągniętymi miotaczami dwaj kolejni Ogronowie. Jednocześnie otworzyły się metalowe drzwi i ukazał się w nich Dalek. Widząc Anat, ruszył wprost na nią, biorąc ją na muszkę.

Zando, Mark i Joab wystrzelili równocześnie w stronę bramy, unicestwiając w ciągu ułamka sekundy obu napastników. W tym samym czasie Boaz złapał upuszczony przez Joaba ładunek wybuchowy, podbiegł do Daleka i uderzył kulą plastiku w jego zewnętrzny pancerz. Rozległ się potężny huk eksplozji i Boaz razem z Dalekiem zniknęli w chmurze dymu.

Anat popatrzyła oszołomiona na Moniego.

— Ta masa wybucho przy zetknięciu z pancerzem — powiedziała. — On musiał o tym wiedzieć.

— Wiedział o tym — potwierdził Moni. — Ale kiedy się nią rzuca, nie zawsze dochodzi do wybuchu. Boaz chciał mieć pewność. Ruszaj! — dodał, potrząsając nią brutalnie. — Czy chcesz, żeby jego śmierć poszła na marne?

Moni i Anat wbiegli przez otwarte drzwi i zaczęli wspinać się po schodach. Pozostała trójka zgodnie z umową czekała na



dole. Zando i Mark ostrzelowali bramę z dezintegratorów, a Joab ciskał wysokim łukiem ładunki wybuchowe.

Zajmowali znakomitą pozycję, ale przeciwnicy mieli nad nimi olbrzymią przewagę liczebną. Odbicie przez nich podwórka było tylko kwestią czasu.

W apartamencie gościnnym Kontroler nadal starał się na próżno przekonać Doktora, aby przekazał mu wiadomości na temat partyzantów.

— Może pan myśleć o mnie, co pan chce — oznajmił znużony — ale proszę pamiętać, że ocaliłem panu życie. Nie będę w stanie pana dłużej chronić, jeśli nie dowiem się czegoś, co mógłbym przekazać Dalekom.

— Po prostu nie jestem w posiadaniu żadnych informacji — powtórzył Doktor — i szczerze mówiąc nie przekazałbym ich panu, nawet gdybym coś wiedział.

Nagle usłyszeli głuchy odgłos eksplozji i wysokie bzyczenie dezintegratorów.

Kontroler zerwał się przerażony i rozejrzał dzikim wzrokiem dookoła. Odgłosy walki dochodziły z coraz bliższej odległości.

— Straż! — zawołał głośno. — Straż!

W drzwiach pojawiła się jakaś postać z bronią w ręku. Nie był to jednak Ogron, lecz Anat. Za jej plecami stanął mężczyzna, którego nie znali.

101

— Nie ma sensu wzywać strażników — zwrócił się do Kontrolera. — Wszyscy nie żyją.

— Doktorze, Jo, jesteście cali i zdrowi? — zapytała Anat.

— Nie macie powodu mi ufać — dodała, zanim zdążyli odpowiedzieć — ale proszę, chodźcie z nami. Musicie pomóc nam

pokonać Daleków. To jest Moni, jeden z naszych przywódców.

— Chodź, Jo — powiedział Doktor, ruszając wraz z nią w stronę drzwi. Nagle zatrzymał się w miejscu. Moni celował z dezintegratora prosto w Kontrolera.

— Co się tyczy ciebie... — zaczął. Kontroler stał bez ruchu, czekając na śmierć.

— Nie! — zawołał Doktor.

Moni obejrzał się zdumiony w jego stronę.

— Zabicie go nic wam nie da — powiedział Doktor. — To nie on jest waszym prawdziwym wrogiem.



— Ale pomagał im — stwierdził Moni. — Gdybyś wiedział, ile krwi ma na rękach...

— Zawsze znajdą na jego miejsce kogoś innego — odparł Doktor. — Oszczędź go.

— Pośpieszmy się! — zawołała Anat. Moni niechętnie opuścił broń i razem z Jo, Doktorem i Anat wybiegł na korytarz.

Kontroler przez dłuższy czas nie ruszał się z miejsca. Zupełnie osłupiały nie potrafił pojąć, co się wydarzyło. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze żyje.



## 12

### *Znowu w niebezpieczeństwie*

Jo Grant, otulona w stary koc, siedziała blisko żelaznego kosa, w którym paliły się drewniane szczapy. Popijając z blaszanego kubka gorącą ziołową herbatę rozglądała się z zaciekawieniem po piwnicy. Miejsce było ponure i obskurne, ale płonący ogień nadawał mu swojski domowy wygląd. Wołała je od lśniącego metalicznego luksusu siedziby Da-leków.

Doktor siedział tuż obok niej, również popijając herbatę i rozmawiając półgłosem z grzejącymi się przy ogniu Anat i Monim. Jo wiedziała, że podczas akcji poniosło śmierć trzech partyzantów. Jeden zginął w samobójczym ataku na Daleka, dwaj inni osłaniając ich odwrót.

Powróciła myślami do niedawnej ucieczki. Wszystko stało się tak szybko. Razem z Doktorem pobiegli za partyzantami długim korytarzem, a potem w dół, po nie kończących się schodach. W końcu wyskoczyli na małe, zasnuite kłębamii dymu podwórko. Zewsząd dobiegały krzyki, jęki, bzyczenie dez-integratorów i odgłosy wybuchów.

Wszyscy wczłgali się przez niewielki włącz do podziemi i ruszyli dalej wąskimi tunelami. Potem szli przez rumowiska, ukrywając się od czasu do czasu przed patrolami Ogromów. W końcu po przebyciu kilku kilometrów dotarli na miejsce.

Jo próbowała skupić uwagę na rozmowie, ale co chwila zapadała w drzemkę. Niewyraźnie uświadamiała sobie, że dyskutują o sir Reginaldzie Stylesie.

— Ale skąd o tym wszystkim wiecie? — pytał Doktor. — Skąd wiecie, że Styles ponosi za to odpowiedzialność?

— Mimo trwających wojen wydawano przecież podręczniki historii — odparł niecierpliwie Moni. — Po prostu wiemy.

— Styles tylko udawał, że pracuje na rzecz światowego pokoju — podjęła Anat. — W rzeczywistości chciał sam objąć władzę.

Doktor pociągnął kolejny łyk herbaty.

— Więc twierdzicie, że zwołana przez niego konferencja była podstępem? — zapytał.

— Właśnie tak — potwierdził Moni. — Udało mu się sprowadzić wszystkich przewodniczących delegacji do swojego domu.

— Zanim opuściłem Austerly House — zauważył Doktor — dowiedziałem się, że Styles planuje u siebie coś w rodzaju wstępnej konferencji.

— Kiedy zaproszeni goście znaleźli się wewnątrz — opowiadał dalej Moni — doszło do potężnej eksplozji. Dom został kompletnie zniszczony. Styles zginął razem z innymi.

— Niezbyt sprytnie to zaplanował — skomentował to Doktor.

— Z pewnością musiał podłożyć bombę — stwierdził Moni. — Być może źle nastawił zapalnik.

— Wszystkie strony oskarżały się wzajemnie — dodała Anat — i konferencja nie doszła oczywiście do skutku. Wkrótce potem wybuchła wojna. Najpierw przy użyciu broni konwencjonalnej, potem atomowej. Kolejne wojny doprowadziły nas do tego — podsumowała, zataczając ręką koło.

Moni pokiwał głową.

— A potem przyszli Dalekowie i podbili to, co zostało.

Doktor wpatrywał się w zamyśleniu w ogień.

— Postanowiliście zatem cofnąć się w czasie i zmienić własną historię... zabić Stylesa, zanim uda mu się zrealizować swój plan?

— Zgadza się — odparł Moni.

— Ukradliśmy Dalekom schematy wehikułów czasu. Ukradliśmy także części aparatury i udało nam się skonstruować nasz własny sprzęt.

— Z początku nie działał zbyt dobrze — dodała Anat. — Przemieszczenie było niestabilne. Nasi wysłannicy pojawiali się na krótką chwilę w waszej epoce, a potem znikali.

— To wyjaśnia opowieść o duchu, którego widział Styles — powiedziała Jo. — I zagadkę tego mężczyzny, który wyparował z kliniki.

Doktor pokiwał głową.

— A potem pojawiliście się wy troje... i w tym momencie do akcji wchodzi ja. A swoją drogą, co stało się z tym trzecim? Z tym młodym chłopcem?

Anat zmarszczyła brwi.

—<sup>A</sup> Z Shurą? Po prostu zniknął. Musiał go chyba dopaść patrol Ogronów.

— Dalekowie dowiedzieli się w jakiś sposób o wszystkim — powiedział Moni — i wysłali do waszej epoki Ogronów, żeby nas powstrzymali. Shura natknął się prawdopodobnie na jednego z nich.

Doktor omiół spojrzeniem wpatrzone w niego z przejęciem twarze.

— Jest jeszcze jedna rzecz, której nam nie powiedzieliście. Dlaczego zadaliście sobie tyle trudu, żeby nas uwolnić? Nasze pierwsze spotkanie nie było przecież zbyt przyjazne — dodał,



uśmiechając się do Anat.

— Bardzo nam z tego powodu przykro, Doktorze — odparła.  
— Z początku myśleliśmy, że to pan jest Stylesem. A kiedy odkryliśmy, że jest inaczej, stanowił pan dla nas tylko kłopot. Nasza misja musiała za wszelką cenę odnieść sukces.

Doktor spojrzął Moniemu prosto w oczy.

— Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. Dlaczego nas uratowaliście?

Moni pochylił się do przodu.

— Dowiedzieliśmy się później, że jest pan starym wrogiem Daleków... że walczył pan z nimi i pokonał ich już przedtem. Z pewnością pomoże pan pokonać ich również i tutaj?

— Jeśli tylko zdołam. Czego ode mnie oczekujecie?

— Może pan zrobić to, co nie udało się nam — powiedział mocnym głosem Moni. — Chcemy, żeby wrócił pan do swojej epoki i zabił Stylesa!

W tunelu niedaleko Austerly House trwała gorączkowa krzątanina. Cały teren był oświetlony specjalnymi lampami i reflektorami wojskowych samochodów.

Kapitan Yates stał przy dziupie brygadiera, trzymając w rękach kilka rupieci, które pozostały po ekwipunku partyzantów. Była tam torba z jedzeniem, potrzaskany buster i pękaty cylinder z wbudowanym zespołem przycisków.

— Znaleźliśmy te rzeczy w wykopanej w tunelu jamie, brygadierze. Były zamaskowane gruzem.

Oficer przyjrzał się uważnie rupociom i odchrząknął.

— To wszystko? — zapytał.

— Tak jest. Nie znaleźliśmy nic więcej.

Brygadier westchnął. Spędził bardzo długi dzień, likwidując

skutki bitwy przy Austerly House i przeszukując całą posiadłość. Teraz zwiększył zasięg poszukiwań aż do tunelu. Oprócz tych dziwnych przedmiotów nie znaleziono absolutnie niczego.

Równie bezskuteczne okazały się podejmowane przez brygadiera próby przekonania władz, aby porzuciły pomysł zorganizowania wstępnej konferencji w Austerly House. Jak zdarzało się często w przypadku operacji prowadzonych przez brytyjską sekcję UNIT, podane przez brygadiera powody wydawały się zbyt fantastyczne, by ktoś mógł w nie uwierzyć. Najgorsze było to, że zniknęły wszystkie dowody. Używane przez Ogronów i partyzantów dezintegratory zniszczyły wszystkie ślady ofiar. Wyparowały również w tajemniczy sposób ciała Ogronów zabitych z broni maszynowej. Na poparcie swoich słów brygadier mógł co najwyżej przedstawić ślady walki w gabinecie Stylesa oraz fakt, że zniknęła pokaźna liczba jego żołnierzy.

Sceptyczny urzędnik z ministerstwa obejrzał zniszczony gabinet i mruknął coś z dezaprobatą o wandalizmie. Brygada malarzy i dekoratorów wewnątrz pracowała ciężko cały dzień, aby naprawić szkody i teraz brygadier został pozbawiony nawet tego dowodu.

Największe przeszkody stawiał jednak sam Styles. Obecnie przebywał w Londynie, witając przybywające tam delegacje. Sprzeciwiał się on kategorycznie wszelkim zmianom. Samo zorganizowanie konferencji, utrzymywał, graniczyło prawie z niemożliwością i najmniejsza zmiana może wzbudzić podejrzenia delegatów, którzy w pośpiechu wrócą do domu.

Brygadier rozumiał punkt widzenia Stylesa. W tej grze stawką był światowy pokój. Nie zmieniało to jednak faktu, że na

jego barkach spoczywała odpowiedzialność za bezpieczeństwo członków konferencji.

W tunelu rozległ się warkot motocykla; po chwili przy dziupie brygadiera zatrzymał się posłaniec. Oficer odebrał z jego rąk list i rozdarł kopertę.

— No tak, Mikę. Nie przewiduje się żadnych zmian. Styles i szefowie delegacji przybędą jutro z samego rana — powiedział, zgniatając z niesmakiem kartkę papieru. — Nie pozostaje nam nic innego, jak szukać dalej. Niech żołnierze patrolują teren przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rozszerzamy zasięg poszukiwań. Chcę, żeby cały teren wokół domu i posiadłości był stuprocentowo bezpieczny. I obstaw dużą liczbą ludzi ten tunel; są powody, aby przypuszczać, że tu się wszystko zaczyna.

— A co zrobimy z tymi rzeczami, brygadierze? — zapytał Yates, wskazując swoje znaleziska. Brygadier pogrzebał w nich laską. — Niech pan uważa! — powiedział zaniepokojony kapitan. — Ten cylinder przypomina bombę!

— Prześlij to do dowództwa UNIT. Może będzie chciał się temu przyjrzeć Doktor... jeśli w ogóle go jeszcze kiedyś zobaczymy.

Brygadier uruchomił dżip i ruszył z powrotem w stronę domu, a Yates umieścił tajemnicze przedmioty na skrzyni ciężarówce. Zastanawiał się, czy Doktor będzie miał jeszcze sposobność kiedykolwiek się im przyjrzeć. A także czy będzie ją miała, jeśli już o to chodzi, Jo Grant. Potrząsnął znużony głową i zajął się dalszym organizowaniem poszukiwań.

Brygadier i kapitan Yates nie wiedzieli, że wśród ich znalezisk zabrakło dwóch bardzo ważnych pozycji. Przede wszyst-

kim samego Shury, a także rzeczy, które miał przy sobie i które wetknął pod kurtkę: dezintegratora i dalekańskiej bomby.

Po hałasach i strzelaninie, które miały miejsce podczas nieudanej zasadzki Daleków, Shura zapadł w jeszcze bardziej niepokojny sen. Kiedy się obudził, stan jego zdrowia znacznie się pogorszył. Zmęczenie, rany i długi pobyt w zimnym, wilgotnym tunelu sprawiły, że trawiony wysoką gorączką nie bardzo rozumiał, co się wokół niego dzieje. W głowie tłukła mu się jedna myśl: Boaz i Anat odeszli, zostawiając go samego! Ale on musiał wykonać zadanie. Musiał wrócić do Austerly House i zabić Styleasa.

Kiedy zaczął zapadać zmierzch, wyczołgał się z kryjówki i wlokąc się niczym ranne zwierzę, zaczął posuwać się w stronę wylotu tunelu. Wyszedłszy na zewnątrz, oddychał przez chwilę chłodnym nocnym powietrzem, a potem pokuśtykał w kierunku domu. Kiedy znalazł się na skraju pola, usłyszał nadjeżdżające wojsko. Stoczył się szybko do rowu, przykrył liśćmi i paprociami i zastygł w bezruchu. Niedaleko rozległ się warkot parkujących przy drodze wojskowych ciężarówek. Żołnierze zeskoczyli na ziemię; słychać było tupanie butów i wydawane głośno rozkazy. Oddział przeszedł tuż obok niego.

Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, miał niewiarygodne szczęście. Podczas gdy żołnierze oddalali się od domu, on zmierzał w jego stronę. Kiedy minął ich pierwszą linię, posuwał się dokładnie w odwrotnym kierunku.

Dostanie się na teren posiadłości zabrało mu dużo czasu. Zbyt osłabiony, żeby przejść przez mur, skierował się w stronę głównej bramy. Była strzeżona. Shura czekał cierpliwie w ukryciu, aż podjechała do niej wojskowa ciężarówka. Kiedy wartownik sprawdzał przepustkę kierowcy, partyzant wysko-

czył z zarośli i wgramolił się z trudem na skrzynię. Ciężarówka była wyładowana skrzynkami z żywnością i napojami. Sir Reginald i jego goście mieli być dobrze karmieni. Shura pośpiesznie wsunął za pazuchę bochenek chleba i butelkę wina. Samochód zatrzymał się z tyłu domu. Shura zdążył wyskoczyć i skryć się w cieniu, zanim kierowca obszedł dookoła swój pojazd.

Wprawdzie drzwi do kuchni były otwarte, ale w środku paliło się światło i słychać było czyjeś głosy. Shura ruszył więc wzdłuż domu, szukając innego wejścia. Nagle jego buty zadźwięczały o metal. Pod nogami miał okrągłą dużą klapę. Wyjął szybko z kieszeni nóż i podważył ją. Nie wahając się długo zdjął kurtkę, umieścił w środku swoje bagaże i rzucił tobołek do ciemnego wjazdu, a potem ześlizgnął się w dół. Pod stopami poczuł jakieś osuwające się bryły. Wspiął się po nich trochę wyżej, sięgnął w górę rękoma i zaczął zasuwać klapę. Po kilkunastu sekundach zza rogu wyszedł żołnierz UNIT. Jego obcasy zadźwięczały o metal, kiedy Shura zdążył już zamknąć wjazd.

Chłopak wyjął z kieszeni baterię świetlną, zapalił ją i rozejrzał się dookoła. Znajdował się w piwnicy wypełnionej bryłami czarnego kamienia. Przypomniał sobie wiadomości z historii. Oczywiście, to był węgiel. Ludzie używali go jako paliwa...

Znowu dopisało mu niewiarygodne szczęście. Wyglądało na to, że po prostu nie może mu się nie udać... ~~że~~ sprzyja mu los. W Austerly House dawno już zainstalowano zasilane ropą centralne ogrzewanie, ale wciąż była tam stara piwnica na węgiel. Nikt tu teraz nie zachodził.

Shura wykopał sobie jamę i zaszył się w środku, a potem stłukł szyjkę butelki, pociągnął długi łyk i wetknął do ust peł-

ne garście chleba.

Zmorzony winem i gorączką miał wrażenie, że unosi się bez troski i wolny nad światem. Wszystko szło dobrze. Kiedy Styles przybędzie, zabije go. Zadanie zostanie wykonane. Siedząc w kompletnej ciemności i przyciskając do piersi miotacz i bombę, Shura czuł, jak ogarnia go spokój i zadowolenie. Pozostało mu tylko czekać.

Jo ocknęła się nagle z drzemki, w jaką zapadła siedząc przy ogniu. W piwnicy zaczęło się coś dziać. Słysząc było podniesione głosy. Doktor chodził w tę i z powrotem po pomieszczeniu, głośno perorując.

— Nie rozumiesz, człowieku — mówił — że namawiasz mnie do popełnienia morderstwa! Jak mogę się na to zgodzić?

— Prosimy, żeby zabił pan jednego człowieka — powiedziała Anat — i ocalił miliony.

— Co nie zmienia wcale faktu, że popełnię morderstwo — oświadczył z uporem Doktor.

— Czy nie będzie ono usprawiedliwione — upierał się Moni — skoro ocali ludzką rasę przed inwazją Daleków?

— No właśnie, czy na pewno ocali? — zapytał Doktor, podejmując na nowo swoją wędrówkę. — Czy na pewno ocali?

Anat spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czy nie powiedzieliśmy panu, co się wydarzyło?

<sup>1†0</sup> A jeśli wasze podręczniki historii się mylą? To znaczy, nie w kwestii podstawowych faktów, ale ich interpretacji? Dlaczego nie cofniesz nas z powrotem w czasie? — zapytał, zwracając się do Moniego. — Teraz, kiedy znamy te wszystkie fakty, możemy pomóc wam w zupełnie inny sposób.

— Proszę, Doktorze — powiedział Moni. — Relacja między

naszymi strefami czasowymi jest zafiksowana. Dzień upłynął tutaj i dzień upłynął w dwudziestym wieku. Wkrótce będzie już za późno. Dlaczego nie chce pan obiecać, że nam pomoże? Wyślemy pana z powrotem, jeśli da nam pan słowo, że zabije Stylesa.

— Zupełnie solidaryzuję się z wami, jeśli chodzi o cele, ale nie mogę zgodzić się co do środków — powiedział Doktor. — Co więcej, mój drogi, coś nie podoba mi się w samym pomysle...

Jo ziewnęła i przeciągnęła się. Kiedy się odezwała, wszyscy odwrócili się w jej stronę.

— Najbardziej zastanawiające jest to, że nie potrafię sobie wyobrazić Stylesa w roli bezwzględnego mordercy. Jest może czasem trochę nieprzystępny, ale właściwie wygląda na całkiem poczciwego staruszka — powiedziała i ponownie ziewnęła.

Doktor obrócił się z entuzjazmem w jej stronę.

— Otóż to, Jo. To właśnie mnie niepokoi... mam to samo odczucie! Styles jest dobrym człowiekiem — powiedział, zwracając się do partyzantów. — Może trochę próżnym, aroganckim i pompatycznym, ale w głębi serca dobrym. Jemu naprawdę zależy na światowym pokoju, przysięgam. On nie mógł podłożyć tej bomby.

— W takim razie kto to zrobił? — zapytała Anat.

— Dajcie mi spojrzeć jeszcze raz do tej waszej książki — poprosił Doktor.

Anat podała mu mocno sfatygowany, rozsypujący się tom, który stanowił z pewnością jeden z największych skarbów partyzantów.

Doktor przyjrzał się wyblakłemu drukowi i zaczął czytać na

głos. "Eksplozja w piwnicy była tak potężna, że podejrzewano, iż została wywołana przez niewielkich rozmiarów bombę atomową. Przeprowadzone jednak później testy nie wykazały żadnych śladów radioaktywności. Oskarżano władze, iż wynalazły jakąś nową i śmiertelnie «czystą» formę bomby atomowej. Rząd zaprzeczył z całą mocą tym zarzutom i faktem jest, iż żadna podobna broń nie została użyta w ciągu następnych wojen."

Doktor zamknął książkę. W jego umyśle zaczęła się formować szalona myśl.

— Materiał wybuchowy nieznany w tamtych czasach... — powiedział cicho. — A jeden z was nie powrócił z tej misji — dodał, spoglądając na Anat.

— Zgadza się... Shura. Wrócił do tunelu, żeby skontaktować się z bazą. Nigdy go już nie zobaczyliśmy.

— Co zabraliście ze sobą do dwudziestego wieku? — zapytał Doktor.

— Normalny sprzęt bojowy: dezintegratory, buster do subtemporalnego nadajnika, prowiant, materiały wybuchowe.

— Materiały wybuchowe? — przerwał jej Doktor.

— Zabraliśmy dwie dalekańskie bomby. Na wszelki wypadek...

— Jak wyglądały?

— Pękate czarne cylindry mniej więcej tej wielkości — odparła, pokazując rękoma. — Małe, ale o olbrzymiej mocy. Ukradliśmy je Dalekom!

— Nie pamiętam, żebym widział przy was te bomby — zauważył Doktor. — Czy zabraliście je ze sobą do domu?

— Shura ukrył je w tunelu zaraz po naszym przybyciu do waszej strefy czasowej. Nie mieliśmy czasu zabrać ich z po-



wrotem.

— Wszystko się zgadza — stwierdził Doktor. — Shura ukrył je w tunelu i stamtąd również próbował skontaktować się z bazą. A dalekańska bomba jest „czystym” materiałem wybuchowym. Ma moc bomby atomowej, ale nie wywołuje promieniowania.

— No tak, ale... — Anat spoglądała na niego z przerażeniem. — Nie, Doktorze. To niemożliwe.

— Wszystko się zgadza — powtórzył bezlitośnie Doktor. — Nieznany w tym czasie na Ziemi materiał wybuchowy. Pozostawiony samemu sobie, być może ranny Shura, który pragnie wykonać zadanie... i powracający do domu razem z innymi delegatami sir Reginald.

Doktor potoczył wzrokiem po przerażonych twarzach partyzantów.

— Nie widzicie? Chcieliście zmienić historię. Ale nie jesteście tego w stanie zrobić. Należycie do niej, uwięzieni w paradoksie czasu. To nie Styles zabił tych wszystkich delegatów. To nie on doprowadził do wybuchu wojny, po której Dalekowie opanowali Ziemię. To wy! Zrobiliście to wy sami!



Kontroler po raz kolejny stał przed Naczelną Radą Daleków. W otaczającym go złowrogim kręgu byli Czarny i Żółty Dalek oraz ich pomocnicy. Ze zwieszoną głową przysłuchiwał się oskarżeniom Żółtego Daleka.

— Zawiodłeś Daleków. Dok-tor zbiegł.

— Zostanie ponownie ujęty — odparł Kontroler. — Przyśięgam.

— Musi zostać odnaleziony i zlikwidowany!

— Jestem przekonany, że będzie się starał powrócić do własnej strefy czasowej — powiedział znużonym głosem Kontroler. — Partyzanci, którzy mu w tym pomogą, z pewnością użyją starego tunelu kolei jednoszynowej. W ten sposób w dwudziestym wieku wylądują w zafiksowanym punkcie niedaleko Austerly House. Mogę urządzić kolejną zasadzkę, obstawić tunel strażnikami.

— Jeśli ponownie nas zawiedziesz — oświadczył Czarny Dalek — zapłacisz życiem. To twoja ostatnia szansa.

Kontroler odwrócił się i wyszedł z sali.

Po powrocie do swego gabinetu wezwał Zeno, swego najwyższego rangą asystenta, ambitnego młodego mężczyznę o ostrych rysach.

— Zostawiam całą sprawę tobie — oświadczył, wydawszy mu polecenia dotyczące zasadzki. — Nie zwracaj mi głowy detalami.

Zdumiony, ale zadowolony, że dano mu szansę się wykazać,

Zeno powrócił do własnego gabinetu. Kilka chwil później nic

nie pozostało z jego dobrego nastroju: przed swoje oblicze wzywał go Czarny Dalek. W pośpiechu udał się do kwatery głównej i czekał na drżących nogach na audiencję.

Po kilku minutach do sali wtoczył się Czarny Dalek. Zeno wpatrywał się w niego z nabożnym podziwem i przerażeniem. Chociaż przez całe życie pracował dla Daleków, rzadko oglądał na własne oczy któregoś z nich. Zwłaszcza kogoś o tak wysokiej randze. Dalekowie rządili przez pośredników i nieczęsto się pokazywali.

— Mamy poważne zastrzeżenia co do lojalności i kompetencji Kontrolera — zazgrzytał Czarny Dalek. — Być może okaże się konieczne zastąpienie go kim innym.

— Z pewnością wie pan o tym lepiej, ekscelencjo — powiedział, chyląc kornie głowę, Zeno.

— Będziesz go obserwował podczas najbliższej operacji, a potem zdasz mi raport.

Było jeszcze ciemno, kiedy Jo, Doktor i dwoje partyzantów wyruszyli w drogę przez ruiny. Jo padała wprost z nóg. Potknęła się kilka razy i Doktor podał jej ramię.

Pamiętała jak przez mgłę trwającą długie godziny dyskusję, podczas której Doktor starał się przekonać partyzantów do swojej teorii... i która zakończyła się ostatecznie ich niechętną zgodą. Nie śledziła dokładnie wszystkich argumentów; ważne było wyłącznie to, że wracają w końcu do domu, do własnej epoki, jak najdalej od straszego świata Daleków i Ogronów.

Moni zatrzymał się przy wjeździe do tunelu.

— To tutaj, Doktorze. Anat zaprowadzi was do miejsca, z którego przeniesiecie się prosto do tunelu kolejowego w waszej strefie czasowej. Żegnajcie. Życzę wam powodzenia.

Uściskał im szybko dłonie i ruszył z powrotem. Pozostała trójka zagłębiła się w mrok. Anat szła przodem, zapalając co jakiś czas baterię świetlną, żeby mogli się zorientować, gdzie się znajdują. Wydawało się, że podróż tunelem nigdy się nie skończy.

— Jesteśmy na miejscu — powiedziała w końcu Anat. Za pa-  
liła baterię i Doktor rozpoznał fragment tunelu, w którym po-  
jawił się w dwudziestym drugim wieku. Anat wyjęła z kiesze-  
ni transmiter czasu. — Jest już nastawiony. Musicie tylko naci-  
snąć guzik. — Ona także wymieniła z nimi uścisk dłoni. — Do  
widzenia, Doktorze. Mam nadzieję, że się pan nie myli. Niech  
pan zrobi dla nas, co będzie w pańskiej mocy.

Gdy już miała podać im transmiter, oblało ich nagle jask-  
rawe światło.

— Nie ruszajcie się z miejsca — odezwał się głos.

Wszędzie wokół pojawili się Ogronowie.

— Wszystko skończyło się tak, jak zapowiedziałem, Dok to-  
rze — stwierdził, podchodząc do nich, Kontroler. — Nikt nie  
jest w stanie pokonać Daleków. Opór przeciwko nim jest sza-  
leństwem.

Doktor zbliżył się do Kontrolera.

— Mogę wyzwolić ten świat od ich panowania — powiedział  
niskim, dobitnym głosem. — Wiem, co się wydarzyło, wiem,  
jak udało im się podbić tę planetę. Potrafię pchnąć historię  
Ziemi z powrotem na właściwe tory. Chce mnie pan przed tym  
powstrzymać?

— Gdybym tylko miał pewność... — odparł łamiącym się  
głosem Kontroler.

— Mówił pan o wojnie, cierpieniach, głodzie... Mogę temu  
wszystkiemu zapobiec. Możemy temu zapobiec. Czy mi pan

pomoże?

— Ocalił mi pan życie — odparł powoli Kontroler. — Mógł pan pozwolić mnie zabić. A teraz ofiaruje mi pan wolność.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem odwrócił do Ogronów.

— Odejdźcie! Sam sobie poradzę z terrorystami. Odejdźcie, rozkazuję wam!

Skonsternowani Ogronowie powoli skryli się w mroku.

— Niech pan ucieka! — powiedział Kontroler. — Szybko!

Doktor skinął na Jo, która podbiegła do jego boku. Spojrzał na Anat. Dziewczyna potrząsnęła głową.

— Zostanę w mojej własnej epoce, Doktorze. Poza tym to urządzenie może przemieścić tylko dwie osoby.

Doktor szybko uruchomił transmiter. Dwie postacie otoczyło pulsujące pole czasowe. Jo i Doktor rozplynęli się powoli w powietrzu.

Z głębi tunelu nadbiegał Zeno na czele uzbrojonych po zęby Ogronów.

— Zatrzymajcie ich! — krzyczał głośno. — Zatrzymajcie ich!

Ale było już za późno. Doktor i Jo zniknęli na dobre.

Zeno popatrzył Kontrolerowi prosto w oczy.

— Pozwolił pan im uciec. Zapłaci pan za to. Ty także — dodał, zwracając się do Anat.

Ale dziewczyna trzymała już w ręku miotacz. Strzeliła prosto w reflektor i zniknęła w ciemności. W ostatniej chwili Zeno zdolał złapać Kontrolera. Ze zdziwieniem stwierdził, że jego niedawny zwierzchnik w ogóle się nie poruszył. Nie podjął żadnej próby ucieczki.

Anat pędziła szybko ciemnym tunelem, wymykając się z łatwością goniącym ją tłumnie Ogronom i strzelając w każde źródło światła, które pojawiała się w ciemności. Olbrzymi



wpadli w panikę i strzelali na oślep, zabijając się wzajemnie.

Anat dotarła do miejsca, w którym nie tak dawno opuścił tunel Doktor. Drabiny konserwacyjne stanowiły starą i dobrze znaną partyzantom drogę ucieczki. Wdrapała się zwinnie na górę i po chwili wydostała się na świeże powietrze.

Przez chwilę stała, przyglądając się morzu ruin —jedynemu znanemu jej światu. Na wschodzie widać było smugę światła. Wstawał świt. Jeśli Doktorowi się uda, może to być nowy świt dla nich wszystkich. Jeżeli nie, będą walczyć dalej. Z tą myślą wspięła się na stos gruzu i ruszyła w stronę kryjówki.

Po tak samo wyczerpującej jak poprzednio podróży w Wirze Czasu Doktor i Jo znaleźli się z powrotem w tunelu kolejowym w dwudziestym wieku.

— Dobrze się czujesz, Jo? — zapytał Doktor. Dziewczyna pokiwiała głową. — W takim razie ruszajmy. Zostało nam mało czasu.

Wybiegając z ciemnego tunelu, wpadli prosto na sierżanta Bentona, który dowodził pilnującymi wjazdu żołnierzami.

— Jo! Doktor! — zawołał. — Gdzieście byli oboje?

— Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia — odparł Doktor. — Jaka jest sytuacja w Austerly House?

Benton spojrzał na zegarek.

— Lada chwila zaczną przybywać przewodniczący delegacji. Styles już tam jest. Chce zacząć jak najwcześniej.

— W takim razie mamy jeszcze szansę zdążyć — stwierdził Doktor. — Niech pan mi pożyczy dzip, sierżancie. Muszę tam natychmiast jechać.

Benton wzruszył ramionami.

— Proszę bardzo, Doktorze — powiedział, wskazując sto ją-

cy przy drodze pojazd. — Ja muszę zostać tutaj. Brygadier chce, żebyśmy strzegli tego tunelu.

Doktor ruszył truchtem w stronę dziupa.

— Dzień dobry i do widzenia, sierżancie — rzuciła Jo, biegnąc w ślad za swoim szefem.

Kontroler Pierwszego Sektora Ziemi stał po raz ostatni przed Naczelną Radą Daleków. Wydawał się zupełnie innym człowiekiem. Wyprostowały się jego zgięte przedtem w zalęknionym niewolniczym ukłonie ramiona. Nie bał się, bo i tak nie miał już nic do stracenia. W milczeniu wysłuchał złożonego przez Zeno raportu.

— Zdradziłeś Daleków! — oświadczył oskarżycielskim tonem Czarny Dalek. — Zostaniesz zlikwidowany!

Jego miotacz, a w ślad za nim miotacze innych Daleków skierowały się w jego stronę.

— O nie — stwierdził spokojnie Kontroler. — Przez całe życie zdradzałem moją ludzką rasę. Ale to się już skończyło.

— Zostaniesz zlikwidowany! — zaskrzeczał wściekle Czarny Dalek.

— Kto wie? — uśmiechnął się Kontroler. — Być może nawet przyczyniłem się do tego, że to wy zostaniecie zlikwidowani.

Wciąż miał na twarzy uśmiech, kiedy dosięgła go śmiertelna salwa. Jego ciało skręcało się przez chwilę w jaskrawym świetle, a potem osunęło na podłogę.

— Udowodniłeś, że warto ci powierzyć stanowisko Kontrolera — zwrócił się Czarny Dalek do Zeno, kiedy Ogronowie wywlekli z sali ciało. — Ale ostrzegam, Dalekowie wymagają od tych, którzy im służą, całkowitej lojalności!

Zeno skłonił się i wyszedł.

Dalekowie zaczęli rozmawiać między sobą zgrzytliwymi metalicznymi głosami. Nie była to właściwie prawdziwa dyskusja, jako że wszyscy byli tego samego zdania.

— Doktor jest Władcą Czasu — odezwał się pierwszy Złoty Dalek. — Jego interwencja może pchnąć z powrotem bieg historii na właściwe tory.

— Musimy udać się do dwudziestego wieku i zlikwidować go  
— podjął kwestię Czarny Dalek.

— Musimy doprowadzić do wybuchu wojny między ludźmi  
— stwierdził Żółty Dalek.

— Nie wolno nam dopuścić, aby został odwrócony podbój  
Ziemi przez Daleków — zawtórował mu Czarny Dalek.

Dalekowie opuścili salę, aby przygotować się do ekspedycji.  
Tym razem zamierzali zaatakować ludzi w dwudziestym wie-  
ku.

Mimo wczesnej pory przy bramie Austerly House zgroma-  
dził się mały tłumek ciekawskich, którzy obserwowali dyplo-  
matów przybywających kolejno w czarnych limuzynach. Na  
miejscu była również ekipa telewizyjna. Komentator bardzo  
się starał, aby przedstawić w interesujący sposób wysiadają-  
cych z samochodów gości.

— Nie jest przesadą stwierdzenie, że od tego, co się tutaj dzi-  
siał wydarzy, będzie zależeć światowy pokój. Na stopniach wi-  
dzimy sir Reginalda Stylesa, witającego chińskiego delegata,  
który właśnie wysiadł z samochodu. Podjęta w ostatniej chwili  
decyzja Chińczyków, aby jednak uczestniczyć w konferencji,  
pozwala mieć nadzieję, że zakończy się ona sukcesem. Decyzję  
tę zawdzięczamy wyłącznie staraniom sir Reginalda Stylesa.  
Obok niego na stopniach stoi brygadier Alastair Lethbridge-  
Stewart. Jest on, oczywiście, dowódcą brytyjskiej sekcji UNIT i  
na jego ramionach spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeń-  
stwo całej konferencji.

Komentator przerwał na chwilę, starając się wymyślić dal-  
szy ciąg swojej przemowy. Modlił się właśnie, żeby wydarzyło  
się coś nieoczekiwanego, kiedy nagle jego pragnienie zostało

spełnione. W alei prowadzącej do domu pojawił się pędzący z dużą szybkością dżip. Zatrzymał się ze zgrzytem hamulców tuż przy schodach do budynku i wyskoczył z niego bardzo wysoki mężczyzna w raczej obszarpanym ubraniu, a w ślad za nim bardzo mała młoda panienka. Wysoki mężczyzna podbiegł do Stylesa i brygadiera i pociągnął ich za sobą do środka budynku.

— Za kogo pan się uważa, Doktorze... — zdążył usłyszeć komentator, zanim cała czwórka zniknęła w holu.

— Nieważne, gdzie byłem — mówił Doktor, znalazłszy się w środku. — Musicie natychmiast ewakuować ten dom!

— Czy ten człowiek zwariował? — zapytał rozwścieczony Styles.

— Proszę, niech pan zrobi to, o co on prosi — powiedziała Jo. — Gdzieś w tym domu jest podłożona bomba.

— To niemożliwe — stwierdził stanowczym tonem brygadier. — Całe miejsce zostało dokładnie przeszukane.

— W takim razie przeszukajcie je ponownie — odparł Doktor — ale ewakuujcie najpierw budynek.

— Kategorycznie nie zgadzam się wyjść, brygadierze. I żądam, aby usunięto stąd tego osobnika — oświadczył Styles.

W piwnicy pod domem Shura zaczął nastawiać mechanizm zegarowy swojej dalekańskiej bomby. Przez uniesioną wcześniej klapę wjazdu dobiegały go odgłosy krzątania i warkot samochodów.

— Ruszajcie się! — usłyszał głos przechodzącego niedaleko strażnika. — Właśnie przyjechał stary Styles.

Dla Shury stanowiło to wystarczający sygnał. Poczekał jeszcze parę chwil, wypijając resztkę wina i kończąc bochenek chleba. Teraz bomba była nastawiona. Na małym, umieszczonym z boku liczniku zaczęły przeskakiwać drobne cyferki. Nagle się zatrzymały. Shura spojrzał ze zdumieniem; w świetle baterii stwierdził, że mechanizm zegarowy się zaciął. Ale to nie miało większego znaczenia. Potrafi się obyć bez niego!

Na drodze niedaleko tunelu sierżant Benton przeciągnął się i ziewnął. Zastanawiał się, jak długo jeszcze będzie musiał pilnować tego zapowietrzonego tunelu. Nic się tutaj nie wyda-

rzyło od wieków. Przez chwilę spoglądał w ciemną otchłań. Wydawało się, że coś się w niej porusza.

W holu Austerly House mijał nieubłaganie czas, a kłótnia trwała w najlepsze. Styles był nieugięty i w końcu Doktor porzucił wszelką nadzieję, że go przekona.

— Brygadierze, niech pan natychmiast usunie Stylesea i całą resztę z tego domu. Jeśli okaże się to konieczne, proszę użyć siły — powiedział, po czym podbiegł do drzwi piwnicy i otworzył je na oścież. Zapalił światło. Piwnica była pusta.

— Piwnica... w książce napisali „piwnica” — mruknął pod nosem, wracając do stojącej w holu grupki. — Sir Reginaldzie, czy piwnica, w której przechowuje pan wino, jest jedyną piwnicą w tym domu? — zapytał nagle.

Styles posłał mu zdumione spojrzenie, przekonany, że Doktor ostatecznie postradał zmysły.

— Tak, oczywiście — warknął.

Doktor potrząsnął go za ramię.

— Pomyśl, człowieku, pomyśl... musi tu być jeszcze jakaś inna piwnica!

— Jest także niewielka piwnica na węgiel przy kuchni z drugiej strony domu — przyznał po chwili Styles. — Teraz oczywiście nie używana.

Doktor miał właśnie zamiar ruszyć w tamtą stronę, kiedy zatrzeszczał nagle radiotelefon brygadiera. W słuchawce zabrzmiał podniecony głos sierżanta.

— Staraj się w miarę możliwości ich zatrzymać, Benton — polecił brygadier. — Jeśli to niemożliwe, powoli się wycofuj. Postaram się jak najszybciej przysłać ci posiłki. Jakież siły atakują z tunelu — dodał, zwracając się do Doktora. — Te stwo-

rzenia podobne do małą i coś jeszcze. Coś w rodzaju robotów...

— Dalekowie — szepnęła Jo. — Dalekowie i Ogronowie!

Doktor pokiwał głową.

— Nadchodzą, aby wysadzić w powietrze dom i zabić sir Reginalda... chcą, aby historia potoczyła się w pożądanym przez nich kierunku.

Brygadier nie pojął z tego ani słowa, ale rozumiał świetnie sytuację militarną.

— Pan, a także wszyscy dyplomaci wraz z całym towarzyszącym im personelem — zwrócił się ostrym tonem do Stylesa — macie natychmiast opuścić ten dom. Nie kłóć się, czło wieku, protesty możesz złożyć później. Kapitanie Yates, proszę wykonać rozkaz!

Kilka sekund później komentator telewizyjny obserwował niezwykłą scenę: kilkunastu dystyngowanych zagranicznych dyplomatów zostało właściwie wrzuconych do limuzyn i wywiezionych z dużą szybkością w nieznanym kierunku. Nie miał jednak sposobności opowiedzieć o wszystkim telewidzom, ponieważ parę chwil później on sam wraz z całą ekipą został również zapakowany do dzipa i potraktowany w identyczny sposób.

Kiedy dom był już całkowicie opróżniony, Doktor pobiegł do małej piwnicy na węgiel i otworzył na oścież drzwi. Leżący na stercie węgla Shura mierzył do niego z miotacza. Obok leżała mała pękata bomba. Doktor wziął głęboki oddech.

— Shura — powiedział cicho. — Musisz mnie wysłuchać.

Napastnicy z tunelu zbliżali się nieubłaganie do domu. Żołnierze UNIT stawiali im zacięty opór, ale nie byli w stanie ich zatrzymać. Ogronów można było jeszcze, choć z trudem, zabić,



ale Dalekowie wydawali się niezwyciężeni. Nic nie mogło ich powstrzymać, kiedy osłaniany na skrzydłach przez Ogronów parli z łatwością do przodu. Skręcili w aleję i byli teraz zupełnie blisko Austerly House. Brygadier prażył do nich ze swego sterlinga, stojąc na schodach ganku. Wszędzie wokół niego padali ludzie i wiedział, że klęska jest tylko kwestią czasu...

Jo Grant przyglądała się przez okno nacierającej armii Daleków, a potem pobiegła ostrzec Doktora.

— Jeśli zdetonujesz teraz tę bombę, Shura, całe twoje poświęcenie pójdzie na marne — perswadował Doktor, stojąc w progu piwnicy. — Styles wyjechał... powtarzam ci, że nie ma go w tym domu.

Shura, który trzymał go wciąż na muszce, drugą dłoń opierał na małym, czarnym, wbudowanym z boku bomby przycisku.

— Muszę zabić Stylesea — powiedział sennym głosem. — Muszę zapobiec wojnie.

Doktor spojrział na niego ze smutkiem. Twarz Shury świeciła się od potu, jego oczy były nienaturalnie jasne. Doktor rozpoznał objawy wysokiej gorączki. W tym stanie trudno go będzie przekonać.

Do drzwi piwnicy podbiegła Jo Grant.

— Uciekajmy, Doktorze. Z tunelu zaatakowali Dalekowie! Są już blisko domu...

121

Przerwała nagle, widząc skulonego Shurę i leżącą obok niego na węglu bombę.

— Dalekowie? Są tutaj Dalekowie? — zapytał partyzant, słysząc jej głos.

— Zgadza się — potwierdził Doktor. — Przybyli tutaj, aby

nie dopuścić do zmiany ich wersji historii. Proszę cię, chodź z nami, Shura. Możemy cię jeszcze uratować.

Shura odzyskał nagle cały rozsądek. Atak Daleków był czymś, co dotarło nareszcie do jego trawionego gorączką umysłu.

— Uciekajcie stąd — powiedział. — Zostawcie to mnie. Pozwólcie im tylko wejść do domu...

— Nie, Shura — zaprotestowała Jo. — Niech pan go zmusi, żeby z nami poszedł, Doktorze.

— To dalekenium — stwierdził Shura. — Jedyne materiały wybuchowe, który jest w stanie zabić Daleków, ich własna bomba!

— Moglibyśmy nastawić zapalnik czasowy — rzucił zdesperowany Doktor. — Przecież musi być jakieś inne wyjście!

— Mechanizm zegarowy się zaciął — odparł Shura. — A poza tym dalekenium jest zbyt niestabilne. Użyję bezpośredniego detonatora. To jedyny sposób, żeby uzyskać całkowitą pewność. — Dotknął czarnego przycisku. — Wychodzi pan stąd, Doktorze? Czy może oboje chcecie być tutaj, kiedy nacisnę ten guzik?

— W porządku, Shura — odparł Doktor, rzucając mu ostatnie spojrzenie. — Chodźmy, Jo!

Wybiegli oboje z pustego domu na ganek, gdzie stojący na czele niedobitków swojego oddziału brygadier starał się stawiać ostatni rozpaczliwy opór napastnikom. Kilku Ogronów osunęło się na ziemię, ale większość nacierała dalej pod wodzą niepokonanych Daleków.

— Niech pan da rozkaz do odwrotu — zawołał Doktor, podbiegając do brygadiera. — Wszyscy do tyłu. Pozwólmymy im opanować dom. To jedyne wyjście!

— Słyszeliście Doktora? — krzyknął brygadier. — Wycofujemy się. Przegrupujemy się na wzgórzu za domem!

Lethbridge-Stewart i pozostali żołnierze odwrócili się i pobiegli w ślad za Jo i Doktorem. Nie napotykając żadnego oporu armia Daleków i Ogronów ruszyła w stronę Austerly House.



Doktor i pozostałe osoby obserwowali ze wzgórza triumfalny pochód Ogronów, którzy prowadzeni przez Złotego i Czarnego Daleka wylegli na aleję dojazdową i wpadli do domu.

— Teraz, Shura, teraz — szepnął cicho Doktor.

Napastnicy myszkowali po pustych pokojach. Ukryty w piwnicy Shura słyszał gniewne okrzyki Daleków.

— Gdzie są delegaci?

— Gdzie jest Styles?

— Trzeba ich odnaleźć i zlikwidować!

— Podbój planety Ziemia przez Daleków nie może zostać odwrócony!

— Dalekowie odniosą zwycięstwo!

— O nie, nie tym razem — szepnął Shura. — Tym razem wszystko potoczy się inaczej — dodał naciskając czarny przycisk.

Stojący na wzgórzu Doktor i pozostałe osoby zobaczyli potężną eksplozję, która w jednym błysku zniszczyła cały dom. Huk był ogłuszający. Kiedy opadł czarny dym, zobaczyli, że Austerly House dosłownie wyparował. Nie pozostały po nim żadne ruiny ani gruz — nic oprócz ziejącej w ziemi czarnej dziury.

— Pańska konferencja została uratowana, sir Reginald — zwrócił się Doktor do stojącego nie opodal Stylesa. — Mam nadzieję, że doprowadzi ją pan do szczęśliwego zakończenia. Wybór przyszłości wciąż należy do nas.

Styles spojrział na niego z uwagą.

— Niech pan się nie martwi — odparł. — Wiemy wszyscy, co nas czeka, jeśli nie powiodą się nasze starania.

— Owszem — potwierdził Doktor. — My widzieliśmy to na własne oczy, prawda, Jo? — zapytał, po czym ignorując zdumione spojrzenia brygadiera i Stylesa, zszedł razem ze swą asystentką ze wzgórza.

# 14

## *Wszystkie rodzaje przyszłości*

— Przykro mi, Doktorze — powtórzyła z uporem Jo, kiedy szli oboje korytarzem w stronę laboratorium — ale wciąż nic z tego nie rozumiem.

— To całkiem proste, Jo. Dalekom udało się w jakiś sposób odwrócić bieg historii i podbić Ziemię. Partyzanci usiłowali temu zapobiec, ponieważ jednak stanowili część historii, ich interwencja powtórzyła po prostu ten sam wzór. Dzięki mojej interwencji udało się pchnąć historię z powrotem na właściwe tory.

— Wiem, wiem — stwierdziła niecierpliwie Jo. — Wszystko dlatego, że Doktor jest Władcą Czasu. Ale to nadal nie wyjaśnia, dlaczego... — Jo przerwała nagle, kiedy Doktor otworzył drzwi laboratorium. W środku stała druga Jo Grant, wpatrująca się w nią z nie mniejszym zdumieniem.

— Dobrze sobie, no tak... oczywiście — stwierdził Doktor. — Teraz sobie przypominam. Nie przejmuj się, moja droga — zwrócił się z uśmiechem do drugiej Jo Grant. — Wiem, że jesteś mocno zaniepokojona, ale...

Ku zdumieniu Jo z TARDIS wyszedł drugi Doktor i posłał im uważne spojrzenie.

— O nie! A ty co tutaj robisz? — zapytał.

— Nie przejmuj się... właściwie mnie tutaj nie ma... — odparł przeproszającym tonem Doktor przy drzwiach. — To znaczy... w pewnym sensie to ja jestem tutaj, a ciebie nie ma. Wszystko

to trochę trudno wytłumaczyć...

— Przyznasz chyba, że to nie ma sensu — przerwał mu surowym tonem drugi Doktor. — Nie możemy istnieć jednocześnie.



— Nie martw się, staruszkę — powiedział Doktor przy drzwiach. — Wszystko to...

Nagle drugi Doktor i druga Jo po prostu rozplętnęli się w powietrzu. Pierwszy Doktor spokojnie wszedł do laboratorium i zdjął płaszcz.

— Chwileczkę... — odezwała się Jo. — Wszystko to zda rzyło się już wcześniej. Tylko że my byliśmy nimi, a oni nami.

Doktor uśmiechnął się.

— Nie przejmuj się, Jo. Mówiłem ci już, że czas to bardzo skomplikowana rzecz.

Do laboratorium wszedł lekko wstrząśnięty brygadier.

— Zaczynam chyba cierpieć na halucynacje — powiedział. — Przez krótką upiorną chwilę wydawało mi się, że widzę was dwóch.

— Nie ma się czym martwić, mój stary — pocieszył go Doktor.

— Tak pan twierdzi? — zadumał się brygadier. — Zaraz, zaraz... po co ja tu właściwie przyszedłem? A tak, mara dla was dobre wiadomości na temat konferencji. Wygląda na to, że eksplozja dała im dużo do myślenia. Według Stylesa, zaplanował między nimi duch współpracy.

— Miło mi to słyszeć. Ale teraz jeśli mi pan wybaczy, wróćę do swojej pracy — oświadczył Doktor, otwierając drzwi policyjnej budki.

Jo zorientowała się, że jej szef zamierza ponownie zająć się problemem uszkodzonego TARDIS.

— Doktorze! — zawołała, zanim zdążył wejść do środka.

— Tak, Jo? — zapytał cierpliwie.

— Ta przyszłość, którą oglądaliśmy... rządzący Ziemią Dalekowie... czy to wszystko się wydarzy?

- Wydarzy się i nie wydarzy — odparł zagadkowo Doktor.
- Niech pan da spokój, Doktorze — wtrącił brygadier, przychodząc Jo na pomoc. — Co to ma być za odpowiedź?
- Powiedziałem dokładnie to, co miałem na myśli — zaprotestował Doktor. — Ta przyszłość najpierw się wydarzy... a potem nie. Istnieją przecież wszystkie rodzaje przyszłości.
- I jest wśród nich ta z Dalekami? — zapytała Jo.
- Tak, Jo, to możliwe — odparł Doktor.
- Ale przecież ci Dalekowie zostali zniszczeni — stwierdził brygadier.



— Była ich tylko garstka. Dalekowie istnieją w wielu miejscach i w wielu czasach. Kiedyś wydawało mi się, że ich zniszczyłem, ale nie miałem racji.

Doktor stał przez chwilę bez ruchu, patrząc gdzieś w dal. Wygląda, pomyślała Jo, jakby wpatrywał się w sam labirynt czasu, zastanawiając się, kiedy i gdzie przyjdzie mu się znowu zmierzyć ze starymi wrogami.

Po chwili ocknął się z zamyślenia i posłał jej wesoły uśmiech.

— Naprawdę muszę uruchomić TARDIS z powrotem, Jo. Mam przecucie, że niedługo będę go potrzebował — powiedział, po czym zniknął w środku budki i zamknął za sobą drzwi.

## SPIS TREŚCI

1. Terror w dwudziestym drugim stuleciu .	5
2. Człowiek, który zobaczył ducha .....	13
3. Znikający partyzant .....	23
4. Łowcy duchów .....	36
5. Skazany na śmierć! .....	45
6. W niewoli u Daleków .....	58
7. Atak Ogronów .....	64
8. Podróż w przyszłość.....	69
9. Ucieczka .....	78
10. Przesłuchanie przez Daleków.....	90
11. Atak na siedzibę Daleków .....	93
12. Znowu w niebezpieczeństwie .....	102
13. Dzień Daleków .....	112
14. Wszystkie rodzaje przyszłości .....	123